Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 27 marzec 1949 r. | Nr 12 (174)

Jan Dobraczyński

QUO VADIS – PO 52 LATACH

Hałaśliwa burza, jaka przed kilku laty rozpętała się nad „Trylogią", z całą swą krzykliwością była niczym wobec burzy, jaka swego czasu szalała nad „Quo vadis" — i jaka — tak mi się przynajmniej zdaje — zbiera się znowu nad tą powieścią. Dobrze się więc stało, że Józef Marian Święcicki w swym mądrym i ciekawym artykule (Przegląd Powszechny, grudzień 1948 r.) zwrócił uwagę na główne motywy, jakimi kierował się Sienkiewicz pisząc swą rzymską epopeę. „Quo vadis" nie miało być apologią wczesnego chrześcijaństwa. Najbardziej nawet wszechstronny pisarz „dusi" w sobie pewien konflikt, który stara się kolejno i coraz lepiej, rozwiązać w swej twórczości. Ciekawe były kiedyś uwagi Miłaszewskiego na temat twórczości Żeromskiego, w której widać ciągle zmaganie się człowieka, opętanego wybujałą zmysłowością, z surowym ideałem moralnym wpojonym mu w dzieciństwie. Ideał „wierności samemu sobie" ciąży na twórczości Conrada od „Fantazji Almayera" po „Korsarza". Konfliktem Sienkiewicza, nazwanym przez Święcickiego konfliktem „głowy najdroższej", wydaje mi się konflikt miłości romantycznej.

Trzeba by zacząć od początku, od założenia, iż twórczość Sienkiewicza, wbrew rozmaitym napowierzchnim wyglądom, jest właściwie drugą w literaturze polskiej — po Mickiewiczu — rewolucją romantyzmu. Pozostawiam jednak rozwinięcie tego tematu do innej okazji. Tutaj sformułuję krótko swój pogląd: bujna natura Sienkiewicza dała się porwać od samego początku („Hania") romantycznej, rozdętej aż do przesłonięcia świata miłości do kobiety. Romantyzm ten w dobie popowstaniowej, pełnej realizmu i budzącego się pozytywizmu musiał wyglądać dość śmiesznie. Autor jednak nie mógł z niego zrezygnować zupełnie. Przerzucił go jedynie na pewien typ swoich bohaterów. Rodzili się więc kolejno Kmicice, Winicjusze, Krzyccy. Sienkiewicz, ukazując ich, czynił to z gestem pewnego rodzaju pobłażania, zachowując dla siebie rolę krytyka i mentora. Następowało w ten sposób jakby rozdwojenie osobowości: z Winicjuszem czy Kmicicem Sienkiewicz wyżywał się w pełnych fantazji perypetiach uczuciowych, z Zagłobą, potem z Petroniuszem patrzył na tamte historie i lekko z nich podrwiwał. Romantyzm połączony ze skłonnością do szyderstwa jest zjawiskiem nie tak znowu rzadkim w literaturze polskiej: vide choćby „Beniowski". Po to jednak, aby móc drwić trzeba się było temu drugiemu, krytycznemu „ja" Sienkiewicza wznieść na odpowiednio wysoki piedestał. To dlatego opój, zawadiaka i awanturnik Zagłoba urasta pod koniec „Trylogii" do rozmiarów Katona, „ojca ojczyzny", wzoru cnót obywatelskich. Ale w [illegible]iekunie Basi nie ma jeszcze nutki sceptycyzmu. Ta nuta zabrzmi już mocno w Petroniuszu, by z kolei stać się dominantą postaci Grońskiego z „Wirów".

Podzieliwszy w ten sposób własne stanowisko pomiędzy dwa odmienne typy, Sienkiewicz mógł być i piewcą „najdroższej głowy", i nie utożsamiać się ze ślepym romantyzmem swoich zakochanych bohaterów. Jako zręczny odbiorca nastrojów społeczeństwa czuł, że jego czytelnikom nie wystarczy opowieść o miłości do Helen, Oleniek, Ligii i Danuś. Czytelnicy oczekiwali na ideały wyższe, żądali ich od pisarza, doszukiwali się ich nawet tam, gdzie ich nie było. Sienkiewicz musiał być im posłuszny: starał się znaleźć te ideały na przecięciu pomiędzy rozbrykaną miłością romantyczną, a chłodną postawą krytyka.

Jeżeli przyjmiemy taki schemat twórczości Sienkiewicza, uświadomimy sobie zaraz, że „Quo vadis" było przede wszystkim historią romantycznej miłości Winicjusza do Ligii, stonowaną przez krytyczne stanowisko Petroniusza. Ale właśnie rola tego ostatniego została w utworze w pewnym sensie zwichnięta. Niespodziewanie bowiem spod pióra Sienkiewicza wyrósł problem walki pogaństwa z chrześcijaństwem. To rozsnuwanie się zakrojonego na znacznie mniejszą skalę tematu zdarzało się Sienkiewiczowi już nie po raz pierwszy. K. Wyka w swym artykule „Sprawa Sienkiewicza" (Twórczość, czerwiec 1946 r.) cytuje wprawdzie, nie zaprzeczając jej, opinie J. Ochorowicza: „Sienkiewicz przede wszystkim obmyślał długo i przetrawiał wszystko to, co miał pisać — aż do najdrobniejszych szczegółów", lecz zapomina, co poprzednio stwierdził, że „Sienkiewicz zamierzał napisać (zabierając się do „Ogniem i mieczem") jednotomową opowieść „Wilcze gniazdo", osnutą wokół romansu rycerza Skrzetuskiego z kniaziówną Kurcewiczówną... Trylogia pisana była z odcinka na odcinek wśród nieustannych podróży Sienkiewicza. Rozrosła się do swych rozmiarów pod wpływem niebywałego powodzenia"...

Wydaje mi się, że opinia Ochorowicza nie jest słuszna. Sienkiewicz tworzył dość szybko, niechlujnie, pokrywając mankamenty improwizacji wielkim talentem. W samym „Quo vadis" można by wyliczyć całą masę rozmaitych przeoczeń, które nie świadczą na pewno o „przemyśleniu całości aż do najdrobniejszych szczegółów". Tylko dzięki przytomności umysłu redaktora Henkiela, pozbawiony języka Chilon nie spiorunował z krzyża groźnymi słowami Nerona (vide Papée „Sienkiewicz wielki czy mały"? wyd. Kot. Kraków, str. 62). Tenże Chilon, o którym na początku pisze Sienkiewicz:" n i e b y ł s t a r y: w jego niechlujnej brodzie i kręconej czuprynie ledwo gdzie niegdzie przeświecał włos siwy" I.113 — wszystkie cytaty z „Quo vadis" z wydania 12, Gebethner i Wolff, Warszawa, 1946), gdy, w rok później, znalazł się w amfiteatrze na krzyżu: „mało kto mógł poznać w tym nagim s t a r c u dawnego Chilona" (II, 219). Petroniusz, odwrotnie, początkowo robi wrażenie człowieka poważnego, a nawet wiekowego — potem coraz bardziej młodnieje. Nie będę cytował innych szczegółów; nie wspomnę o wielokrotnym powtarzaniu tych samych opisów czy wyrażeń, jak choćby historii ukarania niewolników Pedaniusza Sekunda i wstawienia się za nimi Petroniusza lub powiedzenia: t[illegible] jest warta ile sama waży; pominę niesta[illegible]nności językowe jak np. gdy na jednej tylko str. 117 (tom I) w rozmowie między Petroniuszem, Winicjuszem i Chilonem używa autor pięć razy słowa „rzekł". Skądinąd wiemy także, że Sienkiewicz nie robił nigdy sam korekty swoich książek, pozostawiając tę robotę rozmaitym paniom dobrej woli. Stąd rodziły się nonsensy, jak choćby taki drobiazg: „Insula Petroniusza leżała na p o ł u d n i o w y m stoku Palatynu, około tak zwanych Carinae" (I, 17) (nota bene później napisze autor: „Petroniusz... kazał się nieść do swego domu na Karynach — II, 116) — co jest oczywistą niemożliwością, ponieważ Karyny dotykały właśnie północno - wschodniego skraju Palatynu. Do „przeoczeń" autora raczej, a nie do błędów korekty, należałoby zaliczyć ze str. I, 143: „Emporium leżało u stóp wzgórza Awentyńskiego, zatem niezbyt od Wielkiego Cyrku daleko. Można było, nie obchodząc wzgórz, udać się wzdłuż rzeki, przez Porticus Aemilii, co jeszcze skracało drogę": wystarczy spojrzeć na plan miasta, aby się przekonać, że właśnie droga „wzdłuż rzeki" jest obchodzeniem.

Oczywiście tego rodzaju przeoczenie należy złożyć raczej na karb braku staranności niż niewiedzy. Sienkiewicz był bardzo dobrze przygotowany do napisania powieści „z czasów Nerona". Jego znajomość Rrzymu, obyczajów, stosunków, historii — jak na literata, a nie naukowca — jest imponująca. Autor wytrząsa jak z rękawa cytaty, przytacza wydarzenia, przytłacza czytelnika mnogością terminów i słów, ogromem wiedzy. Gdyby Sienkiewicz nie był Sienkiewiczem, „Quo vadis" stałoby się niestrawnym popisem informacyj o Rzymie cesarskim. Ale ogromowi talentu autora „Bez dogmatu" uchodzą nawet naiwne i drażniące określenia jak: w miejscu, gdzie został wzniesiony później amfiteatr Flawiusza, gdzie Dioklecjan zbudował później wspaniałe łaźnie itp.

O luki, jakie znajdujemy w tej wiedzy o Rzymie trudno jest po prostu winić pisarza. Sienkiewicz nazywa np. „insulami" mieszkania patrycjuszów, a nie domy czynszowe. Ale dopiero u Carcopina („La vie quotdienne a Rome a l'apogee de l'Empire", Paris, 1939) znajdujemy stwierdzenie, że „gdy domus... oznacza mieszkanie zajęte bez podziałów przez rodzinę właściciela, insula jest budynkiem oddzielonym — jak to wynika z samej nazwy — nieruchomością dochodową, „blokiem" podzielonym na liczne mieszkania, caenacula, których każde służy lokatorowi wzgl. rodzinie lokatora." U Sienkiewicza Winicjusz, idący z Krotonem i Chilonem do Ostriarium, mija „r e s z t k i muru Serwiusza Tuliusza" (I, 162) — z czym trudno się zgodzić, boć wiemy, że ten to mur stanowił w tamtej epoce — i aż do czasów Aureliana— granicę oficjalną miasta (co nie przeszkadzało Rzymowi rozbudowywać się poza tą granicą we wszystkich kierunkach), był zamykany na szereg bram— o których zresztą niejednokrotnie wspomina Sienkiewicz — nie mógł być więc „resztką". U Sienkiewicza rankiem (I, 178) „przekupnie jarzyn zdążali na otwarcie bram, prowadząc osły i muły, obładowane warzywem; gdzie niegdzie skrzypiały wozy, na których wieziono zwierzynę" zaś gdzie indziej (I, 238): „Wincjusz wśród wspaniałych rydwanów spostrzegł pewnego dnia przepyszną, poprzedzaną przez dwa molosy karrukę petroniuszowej Chryzotemis... Chryzotemis, powożąc sama czterema korsykańskimi kucami, rozdawała naokół uśmiechy"... Tymczasem ulice rzymskie — zwłaszcza przed pożarem Rzymu — nie były dostatecznie szerokie, by mogły były być terenem rozjazdów rydwanów i karruk. Carcopino dzieli je na: itinera — tylko dla pieszych, actus — na których mógł się odbywać jednostronny ruch pojazdów, wreszcie viae — na których mogły się wyminąć dwa pojazdy. „Wśród niezliczonych ulic Rzymu wewnątrz starego republikańskiego muru dwie tylko zasługiwały na miano via — via Sacra i via Nova... „Szerokość Świętej Drogi może ocenić każdy, kto był w Rzymie i trudno tam sobie wyobrazić coś więcej, jak kłopotliwie minięcie się dwóch powozów, zaprzężonych w dwa konie— zwłaszcza, gdy jeszcze ulica zatłoczona była ludźmi. Toteż istniały — od czasów Cezara — surowe przepisy zabraniające w dzień na ulicach ruchu powozów. Stąd powszechne użycie lektyk i „selii". Od tego zakazu istniały

Wytyczne

Precyzujemy parę pojęć

Umiłowanie własnego narodu, konkretna służba jego potrzebom kulturalnym, interesom gospodarczym, zadaniom politycznym — stanowi obowiązek każdego człowieka i jest miarą jego wartości.

Wszelka natomiast megalomania narodowa, wszelka egoistyczna interpretacja interesów narodowych rodzi szowinizm i jest przeciwna prawdziwemu patriotyzmowi.

Służba całej ludzkości jest niewątpliwie wyższa zakresem celu od służby własnemu narodowi. Ludzkości jednak służy się realnym wkładem kulturalnym czy gospodarczym, a wkład ten powstaje tylko z pracy i z twórczości na skalę całego narodu. Każde pokolenie ponosi odpowiedzialność za sharmonizowanie interesów narodu ze służbą dla celów ogólnoludzkich.

tylko — jak pisze Carcopino — trzy wyjątki: „w dniach solennych ceremonii dla wozów westalek, króla, ofiar, flaminów; w dniach święcenia triumfu — dla wozów niezbędnych dla pochodu zwycięzcy: w dniach zabaw publicznych — dla wozów niezbędnych przy oficjalnym ceremoniale." Dopiero ze zmierzchem wozy zwożące żywność wwalały się do miasta. Powstawał dziki zgiełk, hałas, turkot, stukot, wrzask — i trwał aż do rana. Stąd rozpaczliwe wykrzykniki Juvenala: „W jakim że mieszkaniu można się wyspać! Sam cesarz Klaudiusz nie zasnąłby od turkotu wozów na zakrętach ulic i od klątew mulników"! Wreszcie u Sienkiewicza spotykamy się z terminem więzienie Mamertyńskie, który jest. starożytności całkowicie nieznany i pojawił się dopiero w V w. po Chr.

Pozwoliłem sobie na wymienienie tych kilku „luk", traktując to wyłącznie jako pewną ciekawostkę; nie mam jednak zamiaru podważać opinii przyznającej Sienkiewiczowi wielką znajomość życia starożytnego Rzymu. Zdaniem moim wiedza pisarza w tej materii była bardzo wysoka, o wiele wyższa niż przeciętna wiedza pisarza - literata o epoce historycznej, w której umieszcza swoich bohaterów.

***

W innych miejscach Sienkiewicz świadomie odchyla się od ścisłości historycznej dla celów literackich. Opisuje np. śmierć małej Augusty w Rzymie (I, 97), by Poppea mogła oskarżyć Ligię o urzeczenie. W rzeczywistości, według Tacyta wyglądało to następująco:

„Za konsulatu Memmiusza Regulusa i Werginiusza Rufusa zaznał Neron nadludzkiej radości, ponieważ Poppea urodziła mu córkę, którą nazwał Augustą, nadawszy także Poppei ten sam przydomek. Miejscem porodu była kolonia Ancium, gdzie on sam na świat przyszedł... Niemowlę w czwartym miesiącu zmarło".

Daje również wspaniałą scenę śpiewu Nerona z łuku akweduktu nad gorejącym miastem (II, 89). Tacyt mówi jednak inaczej:

„Rozeszła się pogłoska, że właśnie w chwili, gdy miasto stało w płomieniach, on wystąpił na scenie domowego teatru i opiewał zagładę Troi, porównując obecne nieszczęście z klęskami przeszłości.

Postacie historyczne świata rzymskiego, występujące w powieści, są na ogół namalowane zgodnie z zapiskami historyków tamtej epoki. Precyzyjny, dokładny rzadko, lecz wtedy dokładnie określający swoje stanowisko Tacyt jest niemal przeciwieństwem Swetoniusza, pisarza pełnego temperamentu, fantazji, goniącego za sensacją. Gdy Akte u Sienkiewicza powiada o Neronie: „I on nie był zły. On sam myślał wtedy, że jest dobry i chciał być dobry" (I, 53), w tym okrzyku jest nie tylko niewygasła miłość, ale i prawda historyczna. Neron zapowiadał się jako dobry cezar. Niechętny mu Tacyt przyznaje: „książę zarządził edyktem aby przepisy każdego podatku państwowego, trzymane dotychczas w tajemnicy, były publicznie ogłaszane, aby zaniedbanych roszczeń po upływie roku nie ponawiano, aby w Rzymie pretor, po prowincjach każdorazowi propretorzy albo prokonsulowie przeciw dzierżawcom ceł nadzwyczajne posiedzenia sądowe odbywali; aby żołnierzom wolność od opłat zachować, z wyłączeniem tego, czym handel uprawiają; nadto inne jeszcze nader słuszne wydał zarządzenia, których przez krótki czas przestrzegano, potem jednak omijano. Mimo to trwa dotąd umorzenie jednej czterdziestej i pięćdziesiątej i jakie tam inne jeszcze nazwy dzierżawcy cła dla niedozwolonych poborów byli wynaleźli. Obniżono w zamorskich prowincjach opłaty od dowozu zboża do Rzymu i postanowiono, żeby okrętów do majątków kupców nie wliczano, a ci za nie podatku nie płacili".

Ulegając sugestiom i przesadzie Swetoniusza, Sienkiewicz opisuje Nerona następująco: Ligia „ujrzała wielką, osadzoną na grubym karku głowę, straszną wprawdzie ale niemal śmieszną... W jego silnie występującym nad brwiami czole było jednak coś olimpijskiego. W ściągniętych brwiach znać było świadomość wszechmocy, lecz pod czołem półboga mieściła się twarz małpy, pijaka i komedianta, pełna zmiennych żądz, zalana mimo młodego wieku (Neron w tym czasie miał 27 lat — m. u.) tłuszczem, a jednak chorobliwa i plugawa." (I, 63) Opis ten sprzeczny jest ze zdawkową zresztą uwagą nienawidzącego Nerona Tacyta, który mówiąc o Galbie, pisze: „Sam wiek Galby był przedmiotem drwin i pogardy dla ludzi, którzy byli przywykli do młodości Nerona a cesarzy, zwyczajem gminu, według okazałości i powabu fizycznego między sobą porównywali"; także głowa Nerona ujrzana oczyma Ligii nie przypomina w niczym charakterystycznej, lecz raczej pięknej, marmurowej głowy tego cezara, znajdującej się w jednym z muzeów rzymskich.

O Tygellinusie, którego imienia Ofoniusz, rzecz ciekawa, lubujący się w ujawnianiu swej wiedzy Sienkiewicz, nigdy nie wymienia, pisze Tacyt, co następuje:

„Ofoniusz Tygellinus, syn nieznanych rodziców, sromotą okryty w latach chłopięcych, bezwstydem w starości, osiągnął prefekturę straży nocnej i pretoriańskiej oraz inne odznaczenia za zasługi — występkami, ponieważ tak szybciej sprawa szła; wkrótce potem wprawiał się w okrucieństwie, następnie w chciwości, zbrodniach o charakterze męskim, skoro już Nerona do wszelakich haniebnych postępków był uwiódł, a na niejedno też bez jego wiedzy się odważył: stąd dla nikogo innego żołnierze uparciej kary się nie domagali... Pod Galbą obroniły go wpływy Tytusa Winiusza... Lud tym więcej oburzony, że do dawnej ku Tygellinowi nienawiści przyłączyła się świeża ku Tytusowi Winiuszowi niechęć, zbiegł się z całego miasta na Palatium i na miejsca publiczne, a napływając tłumnie do cyrków i do teatrów, gdzie swawola bywa największa, hałasował wśród buntowniczych wykrzykiwań: aż Tygellinus, otrzymawszy u wód u Sinuessa wiadomość, że musi umrzeć, wśród wszeteczeństw z nałożnicami, pocałunków i wstrętnego zwlekania, brzytwą gardło sobie przeciął i w ten sposób swe życie nawet zgonem spóźnionym i nieszlachetnym splugawił".

O zdradzie prefekta pretorianów nie dowiadujemy się z powieści. Przeciwnie u Sienkiewicza „gdy wieści o Galbie i przyłączeniu się Hiszpanii do buntu doszły do jego (Nerona) uszu, wpadł we wściekłość i szał. Podruzgotał czary, przewrócił stół przy uczcie i wydał rozkazy, których ni Helius ni sam Tygellin nie śmieli wykonać" (II,271). Ale zakończenie „Quo vadis" jest wyraźnie zrobione „na kolanie", pisarz był już znudzony tematem, zmęczony wysiłkiem, ostatnie rozdziały, poza śmiercią Petroniusza, przypominają pośpieszne streszczenie.

Historyczną postacią jest Petroniusz. Scisle biorąc nie jesteśmy pewni, czy nie było dwóch Petroniuszów: jeden, Cajus, który zginął w czasie likwidacji spisku Pizona i o którym pisze Tacyt:

„O Petroniuszu muszę kilka szczegółów z poprzedniego trybu jego życia uzupełnić. Dzień przepędzał on na spaniu, noc wśród zajęć i rozkoszy życia; a jak inni dzięki pilności, tak on przez swą gnuśność doszedł do rozgłosu. Jednak nie uchodził za hulakę i rozrzutnika, jak większość tych, co swe majątki trwonią, lecz za wytwornego znawcę zbytku. Jego słowa i czyny, im były swobodniejsze i noszące na sobie cechy pewnego niedbalstwa, tym chętniej brano na karb domniemanej naturalności. Mimo to jako prokonsul Bitynii, a potem konsul okazał energię i zdolność do zajęć. Następnie wróciwszy do dawnych przywar, czy też je udając, przybrany został do grona nielicznych powierników Nerona jako mistrz dobrego smaku, ile że tamten w swym dosycie niczego nie uważał za przyjemne i subtelne, jak tylko to, co mu Petroniusz zalecił. Stąd zazdrość Tygellina, jako przeciwko rywalowi, przewyższającemu go w znawstwie rozkoszy. Zwraca się on przeto do okrucieństwa księcia, przed którym wszystkie inne tegoż namiętności ustępowały i zarzuca Petroniuszowi przyjaźń ze Scewinusem, skoro już dla doniesienia przekupił niewolnika, odebrał obwinionemu możność obrony i większą część jego czeladzi wtrącił do więzienia. Przypadkiem w tych dniach cesarz udał się do Kampanii, a Petroniusz, który wyjechał z nim aż do Kum, został tam zatrzymany. Nieznośne dlań było dalsze wahanie się między obawą a nadzieją. Jednak nie w sposób nagły pozbawił się życia, kazał sobie przeciąć żyły, lecz według upodobania je podwiązywał, potem znów otwierał i przemawiał do przyjaciół, nie w słowach poważnych, albo takich, którymi sławę stateczności chciałby sobie pozyskać. przysłuchiwać się też nie ich referatom o nieśmiertelności duszy i poglądach mędrców, lecz lekkim pieśniom i igraszkom wierszy. Jednych niewolników obdarował, innym kazał chłostę wymierzyć. Zasiadł do uczty, oddał się drzemce, aby śmierć, aczkolwiek wymuszona do przypadkowej była podobna. Nawet w testamencie nie schlebiał, jak większość tych, co ginęli Neronowi albo Tygellinowi, albo jakiejś innej wpływowej osobistości, lecz podawszy imiona bezwstydnych chłopców i niewiast, opisał sromoty księcia i nowość każdej rozpusty; pismo to opatrzył swoją pieczęcią i posłał Neronowi. Następnie pierścień skruszył, aby się nim później nie posługiwano w celu wtrącenia kogoś w niebezpieczeństwo."

Ale czy ten sam Petroniusz jest również autorem zachowanego w ułamku utworu, zwanego „Ucztą Trymalchiona"? Epoka utworu odpowiada epoce, w której żył arbiter elegancji, drwiny z „arystokracji wyzwoleńców" — a do niej należy Trymalchion — odpowiadają atmosferze czasów, kiedy to wszechwładnymi zausznikami cezara były takie postacie, jak Watyniusz, Tygellinus, Helius. Lecz czy Petroniusz, który sam należał do tego grona, mógł w ten sposób o nich pisać? Czy nie należy raczej przypuszczać, że jakiś nieznany satyryk ukrył się po prostu za jego imieniem, jako za imieniem tego, który umierając zadrwił z cezara?

Dobra setka szczegółów pomieszczonych w powieści dowodzi, że „Uczta Trymalchiona" była znana Sienkiewiczowi.

Niemniej historycznymi postaciami są Aulus Plautius, dawny legat w Brytanii i jego żona Pomponia Graecina. O niej to wspomina Tacyt:

„Pomponię Graecinę... obwiniono o obcy zabobon i zdano na wyrok męża. Otóż on według dawnego zwyczaju, w obecności krewnych przeprowadził śledztwo, od którego życie i dobre imię małżonki zawisło i za niewinną ogłosił."

Notatkę tę wykorzystał skrupulatnie Sienkiewicz. Ligia i Winicjusz nie są postaciami historycznymi; gdyby istnieli naprawdę, długo by na ich niezmącone szczęście mogła była patrzeć Pomponia Graecina — żyła bowiem do 84 roku.

***

Ligowie — co Sienkiewicz niewątpliwie zaczerpnął od Lelewela — mieli być prototypem Polaków. Wyznał to zresztą sam Sienkiewicz w liście do K. Morawskiego: „Moich Ligów wziąłem dlatego, że mieszkali między Odrą a Wisłą". Ale i bez tego wyznania poznajemy to z tysiąca dyskretnych, lecz nieodpartych aluzji. Zwłaszcza charakterystyczną jest pewna scena: Piotr opowiada o pojmaniu Pana Jezusa (I, 208). „To rzekłszy, przyłożył dłonie do czoła i umilkł, chcąc przed dalszym opowiadaniem moc wspomnień pokonać. Lecz Ursus, nie mogąc wytrzymać, zerwał się, żeleźcem poprawił ogień na trzonie, aż iskry sypnęły się złotym deszczem i płomień strzelił żywiej, po czym siadł i zawołał: A niech by się stało, co chciało — hej! Lecz urwał nagle, gdyż Ligia położyła palec na ustach. Oddychał tylko rozgłośnie i znać było, że burzy się w duszy i że choć zawsze gotów całować stopy Apostoła, przecie tego jednego postępku uznać w duszy nie może, bo gdyby tak ot przy nim podniósł kto rękę na Zbawiciela, gdyby on był z nim tej nocy, oj poleciałyby wióry i z żołnierzy i ze sług kapłańskich, i ze służebników... I aż oczy zaszły mu łzami na samą myśl o tym, zarazem z żalu i dusznej rozterki, bo z jednej strony pomyślał, że nie tylko by sam Zbawiciela bronił, ale jeszcze skrzyknąłby Mu w pomoc Ligów, chłopów na schwał, a z drugiej, że gdyby to uczynił, to okazałby nieposłuszeństwo Zbawicielowi..."

Mam wrażenie, że Sienkiewicz z całą premedytacją naśladował tutaj Słowackiego i ten okrzyk Kirkora w chacie pustelnika:

O biedny Kwiatku! Na to Tyś się kwiecił,
By Cię na krzyżu ćwiekami przybito?
Czemuż nie było mnie tam, na Golgocie,
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą!
Zbawiłbym Zbawcę — lub wyrąbał krocie
Zbójców na zemstę Umarłemu...

Było to jakby ciche porozumienie się z czytelnikami, uśmiech w ich stronę i w stronę ich pragnień. To porozumienie bardzo potrzebne było pisarzowi, którego dzieła żyły zachwytem czytającym, choć nie zawsze znajdowały uznanie w areopagu krytyki.

***

Powiedziałem, że rola Petroniusza została w utworze w pewnym sensie zwichnięta. Te dwa typy, w które wcielał się w swoich utworach sam autor, można by, jak powiedziałem, sprowadzić — patrząc na nie ze stanowiska etyki — do następujących ujęć: typ pierwszy — zakochany romantyk: zło i dobro jest w nim splątane i właściwie nie daje się wyodrębnić: dobre serce i rozbrykane namiętności: każdy zły czyn można natychmiast pokryć czynem dobrym, ba, bodaj dobrym uczuciem i wszystko będzie dobrze, typ drugi — umie odróżnić zło od dobra: nie znaczy to jednak, że postępuje dobrze: może mu się nie chcieć — jak Petroniuszowi.

Ale Petroniuszowi nie tylko „nie chce się" postępować dobrze. „Dobro" Petroniusza jest właściwie bardzo swoistym dobrem. Ten epikureizm nie razi tylko dzięki wyjątkowości typu psychologicznego — no, i kontrastowi z wyuzdaniem domu Nerona, podkreślonemu sympatią autora dla arbitra elegancji. Ale wobec świata chrześcijańskiego, który wtargnął do powieści, Petroniusz nie może zachować swej roli krytyka postawy Winicjusza. Nie bez widocznego żalu, Sienkiewicz spycha Petroniusza na drugi plan: oddając korekturę szaleństw młodego patrycjusza w ręce chrześcijan. Oczywiście nie może być już mowy o drwinie, czy szyderstwie. Chrześcijaństwo może przemawiać do wielbiciela Ligii jedynie językiem pogodnej powagi.

***

Czy Sienkiewicz miał jednak dane by stać się głosicielem chrześcijaństwa? Mam wrażenie, że danych tych posiadał bardzo mało. Trudności, jakie napotykał na swej drodze znajdowały się albo poza nim: w panującym klimacie, w braku źródeł i materiałów, albo w samym pisarzu.

Zwróćmy uwagę najpierw na względy typu pierwszego.

Wiedza Sienkiewicza o Rzymie była bardzo duża; była to wiedza zdobyta przez czytanie autorów starożytnych w oryginale. Pochwały jakimi w swym liście z dnia 22 lutego 1896 obsypał okropny, nieczytelny, zachowujący łacińską składnię, a dokonany przez Wł. Okęckiego, przekład Tacyta — złożyć chyba należy na karb nadmiernej grzeczności. Otóż ta wiedza książkowa nie była, jak się wydaje, dostatecznie mocno poparta znajomością decydujących dla studiów nad starożytnością badań ruin Pompei. Dopiero mury pompejańskie, wciąż jeszcze odkrywające swoje tajemnice, pokazały jak wyglądało życie ludzi zwykłych, „szarych" obywateli starożytności.

U Sienkiewicza życie cesarskiego Rzymu zamyka się w życiu cezara, Augustianów, patrycjuszy, bogaczy. Lud rzymski — ten lud, który w tamtym czasie liczył około 1 i pół miliona głów, z czego 400 tysięcy stanowiła armia niewolników, zaś ponad 800 tys. utrzymywało się z rozdawnictwa mąki i oliwy przez cezara — pisarz dostrzega tylko jako „różnobarwny tłum" na Forum, lub jako wrzeszczącą, groźną tłuszczę. Pełnych plastyki obrazów uczt cesarskich nie można porównać z nieprzekonywującym obrazem życia biedoty. O rzymskim plebsie wiemy z „Quo vadis", że istnieje, ale go nie widzimy.

Nie wczuwając się w warunki życia szarej masy mieszkańców Rzymu, nie mógł wczuć się Sienkiewicz w warunki życia chrześcijan, którzy właśnie w tej masie tkwili.

Swiat pogański początkowo nie umiał odróżnić chrześcijan od Zydów — czego dowodem słynny dekret Klaudiusza, o którym pisze Swetoniusz: „Wygnał z Rzymu Żydów, którzy pod przywództwem Chrystusa wszczynali nieustanne zamieszki". Tacyt patrzy na chrześcijan jako na zbrodniarzy, którym wprawdzie nie dowiedziono podpalenia miasta, ale którzy „żywią nienawiść ku rodzajowi ludzkiemu". Jeszcze Pliniusz młodszy nie będzie umiał nic konkretnego o nich powiedzieć. By dotrzeć do tego, jakimi byli pierwotni chrześcijanie, trzeba koniecznie czytać — poza Dziejami Apostolskimi i Listami Apostolskimi — pisma Ojców Kościoła — zwłaszcza tak charakterystycznego dla stosunków rzymskich „Pasterza Hermasa" — Barnabę, Klemensa, Ignacego, Polikarpa, Hegezippa, Euzebiusza, Tertuliana, Justyna, Ireneusza...

Znajomość tych źródeł u Sienkiewicza zawodzi zupełnie. Nie czuje się aby pisarz znał bodaj — wydany już chyba w tym czasie cykl ks. G. Fouarda. Poza wielokrotnie cytowanym Ostriarium Sienkiewicz nie wspomina o żadnym innym miejscu zebrań chrześcijan (np. o cmentarzu Lucyny, należącym do Pomponii Graeciny, katakumbach Priscilli, cmentarzu Domicylli, cmentarzu Petroneli). Znacznie gorzej — bo Sienkiewicz wydaje się nie mieć pojęcia o tym, co chrześcijanie robili na swych zebraniach. W „Quo vadis" sprowadza się wszystko do śpiewu i nauki. Tyle akurat co we współczesnym zborze protestanckim! Ani razu nie ma rozdawnictwa Komunii św., zwanej wówczas „łamaniem chleba". Nie mówi się nic o sakramentach. Nie spotykamy się z tak charakterystycznymi dla tamtych czasów „agapami". Chrzest wygląda jak współczesne polanie głowy, gdy wówczas był z zasady zanurzeniem całego ciała (znaczenie Ostriarium polegało na tym, że znajdowała się tam sadzawka). Do chrztu wymagana była znajomość credo, gdy tymczasem Paweł chrzci Chilona równie beztrosko, jak potem Staś chrzcić będzie murzynów Lindego.

U Sienkiewicza Piotr i Paweł umierają tego samego dnia. Teza ta nie wielu już ma dzisiaj zwolenników. Wprawdzie dzięki wyliczeniom lat u Euzebiusza — a także jako echo przeniesienia w jednym dniu zwłok obu Męczenników za Konstantyna — powstała tradycja umiejscawiająca śmierć obu Apostołów w tym samym dniu w roku 67 lub 68. W rzeczywistości było niewątpliwie inaczej. Piotr zginął (na krzyżu według Tertuliana) już w 64 r. — t. zn. zaraz w pierwszej fali prześladowań, spowodowanych pożarem Rzymu, Paweł natomiast miał zginąć w r. 67 — 68. Wiemy o nim, że wiosną 61 roku przybył do Rzymu i tu przebywał przez dwa lata pod strażą. Uwolniony przez sąd cesarski, prawdopodobnie wiosną 63 r., opuścił Rzym i odbył jeszcze szereg podróży, w czasie których,

(dokończenie na str. 6)

Zygmunt Lichniak

MONOGRAFIA CUDU

Książka Werfla*) reprezentuje ten typ zjawiska, który — niezależnie od umiejętności zanalizowania naszej wobec niego postawy— wszyscy muszą jednogłośnie uznać za zjawisko nieprzeciętnie wysokiej klasy. Czytelnicy mogą się różnić w motywach swojego uznania; do jednych „Pieśń o Bernadecie" może przemawiać przede wszystkim odwagą i rzetelnością w potraktowaniu zagadnienia, innym może imponować świadomym i umiejętnym operowaniem subtelnych środków i chwytów literackich, jeszcze innych zastanowi jasnością i logiką kompozycji — we wszystkich jednak wypadkach na pierwsze miejsce wysuwa się świadomość kontaktu z wybitnie oryginalnym, nieprzeciętnym osiągnięciem pisarskim. Nie chodzi w tym stwierdzeniu o stawianie apriorycznej tezy bezbłędności dzieła. Może ono budzić — zwłaszcza u odbiorców obcych jego tematowi, wrogich jego atmosferze — różne zastrzeżenia. Zastrzeżenia te muszą jednag być uwarunkowane obiektywnym szacunkiem, obiektywnym uznaniem dla poniesionego trudu twórczego, dla jego wyników. Można — stojąc na innym stanowisku wobec poruszonych przez autora zagadnień — nie godzić się z konkluzjami jego przedstawienia, można — mając inny pogląd na problematykę cudu i świętości — nie przyjąć żadnej z prawd, którym świadectwo daje utwór, ale nie można zamykać oczu na sam fakt powstania jednej z najpiękniejszych, jednej z najwybitniejszych książek katolickiej literatury współczesnej. Istnieją utwory, istnieją talenty pisarskie, nakazujące dla siebie szacunek niezależnie od reprezentowanej przez siebie i przez odbiorcę ideologii. Jest to szacunek dla samej siły twórczej, dla samej skali zamierzeń, dla wymiaru talentu. Można nie być katolikiem, a przecież trzeba uznać walory Bernanosa, Claudela, Max Jacoba, tak jak nie będąc egzystencjalistą czy marksistą trzeba oddać należytą dań szacunku sile twórczej Sartre'a, Szołochowa, czy Niekrasowa.

Wyrazem i dowodem takiej właśnie skali poczynań, nakazującej szacunek niezależnie od walorów treściowych, jest „Pieśń o Bernadecie".

Nie chodzi, oczywiście, o stwierdzenie, że tylko ta obiektywna siła każe krytyce katolickiej w utworze Werfla upatrywać jedno z najwybitniejszych osiągnięć. Dla katolików „Pieśń o Bernadecie" będzie czymś znacznie więcej, niż dowodem wspaniałego rozwoju jakiegoś talentu. Ale o tym — za chwilę. Tu chodzi przede wszystkim o ogólne określenie, z jakim wymiarem, z jaką skalą zjawisk literackich stykamy się przez dzieło Werfla. I o przemycenie niedwuznacznej sugestii, że o tego typu i tej skali utworach nie mogą, a przynajmniej nie powinni krytycy nie-katolicy wypowiadać się... milczeniem. Takie milczenie nie będzie milczeniem lekceważenia, ale zakłopotania. O tym warto wiedzieć i pamiętać.

Bo — postawmy sprawę jasno— „Pieśń o Bernadecie" jest dokumentem nakazującym poważne potraktowanie swojej roli nie przez znane wszystkim szczegóły z biografii Werfla, (chociaż powinny one stanowić dla ewentualnych antagonistów i nieprzyjaciół książki szkopuł nie byle jaki), nie przez monograficzne walory informacyjne, nie przez wybór tematu nawet, ale przez rzetelny, pełen głębokiej troski o danie świadectwa prawdzie, stosunek autora do opisywanych wydarzeń.

Byłoby rzeczą ciekawą i dla wszystkich arcypożyteczną, gdybyśmy mogli się dowiedzieć jak typ relacji zastosowany przez Werfla załamuje się, odbija i ściera ze świadomością ludzi o odmiennej, niekatolickiej strukturze światopoglądowej, jak na książkę Werfla raegują ludzie, dla których cud w Lourdes jest tym, czym był właśnie dla Werfla przed postanowieniem napisania o nim książki.

Dla nas odpowiedź na to pytanie jest rzeczą niemożliwą. Możliwym jednak jest wskazanie tych walorów „Pieśń o Bernadecie", które w każdym dziele, nie tylko w utworze o najbardziej pasjonującej katolików treści, budzą zaufanie i uznanie dla rzetelności autorskiej. Są to walory formalne: kompozycyjne i stylistyczne.

(Truizmem jest powtarzanie zastrzeżenia, że osobne rozpatrywanie spraw formalnych i spraw treściowych nie wynika z teoretycznych przesłanek o odrębności tych zjawisk, ale z konieczności praktycznych, które dla doraźnych celów zmuszają do tego sztucznego podziału. Ponieważ truizmy to są prawdy, o których się dla wygodnictwa zapomina, warto jeszcze raz podkreślić, że i w tym wypadku osobne rozpatrywanie spraw formy i treści jest koniecznością, kompromisem, ustępstwem na rzecz jasności i przejrzystości wywodów, nigdy zaś wyrazem wiary w jakąkolwiek autonomię i niezależność elementów treściowych i formalnych. „Pieśń o Bernadecie" stanowi organiczną całość, co właśnie będzie można wykazać drogą analizy, wydzielającej sztucznie poszczególne jej składniki).

1.

„Pieśń o Bernadecie" — introligatorsko tylko podzielona na dwa tomy — składa się z pięciu wyodrębnionych przez autora osobnymi podtytułami części. Każda z pięciu części dzieli się na dziesięć drobniejszych rozdziałów. Każda z części i każdy z rozdziałów zajmuje — w przybliżeniu — jednakową objętość. Część — około stu stron, rozdział — około dziesięciu.

Ten symetryczny podział całości nie jest wynikiem jakiejś zewnętrznej symetrii graficznej, ale stanowi wyraz planowego, symetrycznego układu sytuacyj. Każda część opisuje bowiem odrębny etap cudownego wydarzenia w Lourdes. Pierwsza stanowi ekspozycję, obejmującą charakterystykę środowiska, poprzez osoby mające się za pośrednictwem Berndetty zetknąć z cudem groty messabielskiej. Kończy się ta część nawiedzeniem biednej dziewczyny przez Najświętszą Pannę i zarysowuje pierwsze konflikty, wynikłe z zetknięcia zjawisk nadprzyrodzonych z przyrodzonym porządkiem ziemskich spraw. Część druga to pełny obraz pogłębiających się sprzeczności dwóch światów, między którymi jedna Bernadetta, żyjąca w stanie Łaski zachowuje całkowitą równowagę i spokój. Część trzecia, środkowa, stanowi punkt kulminacyjny: przyrodzony porządek ziemski wypowiada walkę nad przyrodzonemu. Oczywistość cudu dzieli ludzi na dwa wyraźne obozy: wierzących i nieufnych. W czwartej części napięcie dramatyczne opada: komisja uznała cudowność messabielskiego wydarzenia. Część piąta ukazuje jego konsekwencje: Bernadetta skazana na świętość walczy z Szatanem, cud staje się obiektem swoistego merkantylizmu religijnego, nadprzyrodzoność ludzie usiłują tłumaczyć na język codzienności swoich potrzeb, źródło uzdrawiające spełnia rolę skutecznie działających „wód", coś w rodzaju niezwykłego Baden-Baden, czy potężnego Ciechocinka.

Uogólniając: dwie pierwsze części to walka nieufności z wiarą, część trzecia — zwycięstwo wiary, część czwarta i piąta — kostnienie cudowności w przyzwyczajeniu, spłycanie wiary przez spowszechnienie, przyzwyczajenie, przez tłumaczenie źródła messabielskiego Ciechocinkami podnoszonymi do kwadratu w ludzkich wymiarach.

Zanim wypadnie zastanowić się nad wyrazistością takiej symetrii w układzie sytuacyj i zanim wysnuje się wnioski o wartościach tego układu faktów, podkreślić należy role techniczną, jaką ta przejrzysta kompozycja musiała odegrać i odegrała w percepcji utworu. Oczywiście, w schemacie streszczeniowym ukazano ją powierzchownie i niedokładnie.

W książce Werfla fakty naświetlane są możliwie wszechstronnie. Zjawisko cudu różnie załamuje się w odbiciu różnych psychik. Autor stara się przedstawić tę wielorakość reakcyj w sposób możliwie obiektywny. Konsekwencja psychologiczna stworzonych przez niego sylwetek jest tego dowodem. Dowód to tym wyrazistszy, że Werfel postaci takich stworzył wiele, kusząc się o znalezienie reprezentantów nie tylko każdej warstwy społecznej, ale także przedstawicieli możliwie wielkiej ilości odmian temperamentów, mentalności, charakterów. Ilość nie zabiła jakości. Każda z postaci określona została dostatecznie jasno, aby przez cały tok wydarzeń zachować swoją differenciam specificam Stało się to dzięki niezwykłej zwięzłości i konkretności charakterystyk. Lacadé, Dozous, Peyramale, Laurence, Antoni, Vital Dutour, Maria Teresa, Millet — to przykłady tych ciekawych osiągnięć charakterologicznych. Tylko przykłady. Sylwetek takich jest w książce bezmała kilkadziesiąt. One pozwalają Werflowi na zerwanie ze sztucznymi schematami, pięcioetapowemu tokowi wydarzeń messabielskich nadają charakter konkretnej relacji historycznej, książce — charakter monografii.

Tym łatwiej przychodzi im spełnić to zadanie, że autor nie umieścił ich na księżycu, a groty w Lourdes nie przeniósł do jakiejś bliżej nieokreślonej Francji. Akcja toczy się między rokiem 1858 a 1933. Dokładnie: między 11 lutego 1858, dniem pierwszego nawiedzenia Bernadetty, a 8 grudnia 1933, dniem wniesienia jej na ołtarze jako świętej. I Francja messabielskich wydarzeń to Francja ściśle określona: monarchia Napoleona III, którego autor ukazuje na tle opisywanych przez siebie wypadków, głowiącego się nad nieuniknionym konfliktem z Austrią, usiłującego przeniknąć plany Cavoura i kokietującego liberałów, w czym przeszkadza mu — jakaś Matka Boska z Lourdes, sprawiająca niemały kłopot swoimi wizytami.

Konkretyzacja tła, wniknięcie i przedstawienie społecznych, a nawet ekonomicznych przesłanek, warunkujących stosunek ówczesnych mieszkańców Francji do cudu messabielskiego zwiększają w książce siłę argumentatywną monografii. Ta siła działa poprzez sumę trzech dotychczas wyliczonych walorów pisarskich: jasność kompozycji, prawdę psychologiczną postaci, historyczną dokładność w przedstawieniu epoki. I ta siła zmusza do wysnucia konsekwencji z przedstawionego obrazu, zmusza do wyjaśnienia sprzeczności, jakie umożliwiają racjonalne wytłumaczenie cudu.

„Pierwsza to sprzeczność między niepozrnością środka uzdrawiającego, a wielkością wyniku. Druga sprzeczność to stosowanie tego samego środka z rezultatem dodatnim przy najróżnorodniejszych chorobach. Trzecia sprzeczność leży w krótkości okresu stosowania źródlanej terapii w zestawieniu z poprzednio długotrwałym używaniem przepisanych przez wiedzę medyczną leków. Czwarta to natychmiastowe działanie tego środka wobec czasem długoletniej bezskuteczności wszystkich innych. Wreszcie piąta to chroniczny charakter badanej choroby, a błyskawiczne wyleczenie jej przez wymieniony środek uzdrawiający". (t. II, str. 155).

Najważniejsze jest, że gdy Werfel dalej stwierdza, iż „owe sprzeczności mogą nie być uznane tylko przez umysły, które z wiedzą i wolą nie dopuszczają do siebie stwierdzonych faktów..." ma do tego stwierdzenia na podstawie przedstawionego w książce zespołu wydarzeń, pełne i obiektywne prawo.

Bo cud messabielski przedstawił jako fakt. Mało tego: za pośrednictwem całej grupy wprowadzonych w tok wydarzeń niedowiarków, poddał ów fakt rzetelnej krytyce. Dowiódł, że nie można go nie uznać i nie można wytłumaczyć w porządku przyrodzonym. Pisząc powieść o cudzie, dał monografię cudu.

A że monografię czyta się jak najbardziej sensacyjną powieść kryminalną, że przykuwa ona czytelnika fascynującym urokiem nowości to — oprócz waloru tematu — zasługa wielkiego talentu.

Jego rzadką siłą tłumacząca się jasność i logika kompozycyjna, precyzja i trafność charakterologiczna, umiejętność stworzenia przekonującego komentarza historycznego występują wyraziściej dzięki właściwościom języka, które mu świetnie sprostał przekład Marii Kłos.

Zdanie Werfla odznacza się uderzającą prostotą syntaktyczną. Rzadko rozbudowuje je pisarz zdaniami podrzędnymi, a nigdy nie zaciemnia skrótami zdań, lub nawiasowymi wtrąceniami. Konsekwentne przez cały prawie czas stawianie orzeczenia w praesens, który rzadko wywołuje wrażenie praesens historicum, wzmaga uczucie prostoty i wyrazistościami. Oto — dla przykładu — początkowe zdania rozdziałów drugiego tomu. „Po tym czwartku Bernadetta nie chodzi już do groty". „Mija całych dwadzieścia dni, zanim Pani daje znać Bernadecie, że wróci do Massabielle". „Pan mer promienieje". „Biskup Laurence wstaje od stołu". „Tygodnie mijają a walka przeciwko cudowi toczy się nadal nierozstrzygnięta". „Porażkę poniesioną z ręki massabielskiej Pani najgłębiej we Francji przeżywa dwóch ludzi". „Zanosi się na poważne zaburzenia i to bynajmniej nie ze strony zwolenników Pani z Massabielle". „Okna cesarskiego gabinetu wychodzą na Ocean Atlantycki". Itd., itd.

Zastosowano przy wyborze cytatów — dla uniknięcia wszelkich nieporozumień — kryterium całkiem mechaniczne: pierwsze zdania kolejnych rozdziałów. Cytaty te podkreślają konsekwencje w stosowaniu czasu teraźniejszego, ożywiającego tok narracji. Ale warto także zwrócić uwagę na co innego. Są to wszystko zdania orzekające. Żadnych wykrzykników, żadnych pytajników, myślników, wielokropków. Każde z nich jest wyrazem spokojnego, pozornie beznamiętnego opisu. Cechy zaobserwowane na terenie jednostek syntaktycznych obowiązują całość okresów, a przez nie — całość relacji.

Tak samo jest z inną sprawą: zdanie Werfla uderza znikomą ilością przymiotników. W przymiotniku jest coś z postawy apriorycznie wartościującej zjawiska. Ktoś, kto mówi, że „stół stoi w salonie" — stwierdza fakt. Ktoś, kto mówi, że „duży stół stoi w zimnym salonie" określa już swój stosunek do przedmiotu. Donosi nam, że porównał stół z jakimś przedmiotem, albo z jakimś swoim wyobrażeniem o wielkości stołu, a poza tym określił różnicę ciepłoty swojego ciała i temperatury pokoju. Jednym słowem: określił siebie wobec opisywanych zjawisk według jakichś z góry ustalonych norm. Werfel powiedziałby, że „stół stoi w salonie", a gdyby chciał określić albo wielkość stołu, albo temperaturę salonu, wprowadziłby w następnym zdaniu krzesło, które mogłoby już — prawem różnicy — pozwalać na obiektywne określenie stołu, albo — gdyby chciał powiedzieć, że sa-

*) Franciszek Werfel — Pieśń o Bernadecie, przekł. autor Marii Kłos, księg. św. Wojciecha — Poznań — Warszawa — Lublin 1948, t. I — 330 str., t. II — 296 str. okł. proj. Edw. Kuczyński.

lon jest zimny — zawiesiłby na ścianie termometr. Ten wywód nie jest dowcipem i nie chodzi w nim o zbicie z tropu czytelnika artykułu. Chodzi o rzecz i poważniejszą i ważniejszą: Werfel unika przymiotnikowego określania opisywanych zjawisk, aby pogłębić obiektywną wymowę faktów. I dlatego pisze po prostu: „Pan mer promienieje“, chociaż mógłby napisać, że „wstrętny, zakłamany, zżarty snobizmem“, bo mer taki jest w swoim postępowaniu. Ale wtedy to postępowanie nie określałoby mera tak, jak go określa, kiedy autor nie wymyśla mu przymiotnikami. To samo prawo obowiązuje postaci pozytywne. Ich plusy wyrażają się nie w przymiotnikach autorskich, ale w zobiektywizowanym układzie sytuacji i faktów. Ta bezprzymiotnikowość zdania staje się bezprzymiotnikowością całego utworu, obiektywizm jednostki syntaktycznej — obiektywizmem powieści monograficznej.

Te uwagi nie wyjaśniają i nie wskazują wszystkich cech formalnych utworu, podkreślają tylko rysy najcharaktyrystyczniejsze, za którymi na pewno ukrywa się wiele innych, bardziej subtelnych, ale niemniej ważnych środków artystycznych, tłumaczących siłę utworu.

2.

Jedno jest pewne: siła ta służy wielkiej problematyce i w niej prawdopodobnie znajduje źródło.

Problem cudu i świętości — stanowiący meritum treściowe „Pieśni o Bernadecie“ — w równej mierze dopingował jak i zobowiązywał do ostrożności pisarzy katolickich. Zmagania Bernanosa były zachętą i ostrzeżeniem. Tym dziwniejszy i bardziej tajemniczy to fakt, że zadanie tak trudne podjął właśnie — Werfel. Łaska nie chadza utartymi drogami. Dowodzi tego zarówno jego przedsięwzięcie, jak i wynik.

Bo i do Bernadetty Łaska dziwną zstąpiła drogą. Biedna, co tu długo prawdę ukrywać pod korcem, nieinteligentna dziewczyna — wybranką Nieba. Nie inteligencja odgrywa tu zasadniczą rolę, lecz... prostota serca, świętość duszy. Ale skąd świętość? Zamyka się koło tajemnicy. Werfel nie usiłuje nawet kusić się o rozwiązanie. Wie jedno: miłość jest tu siłą tworzącą, miłość bezinteresowna, całkowita, w jedno łącząca przedmiot z podmiotem. Ale to już Bernanos wiedział i wielu przed Bernanosem. Bernanos też już przed Werflem widział konflikt świętości z satanizmem. Nawet śmielej i gruntowniej zbadał ten problem. określił go niemal matematycznie: im większa świętość, tym cięższy trud walki, tym tragiczniejszy bój o wytrwanie, tym groźniejsze ataki strony przeciwnej.

Te przemyślenia Bernanosa ciekawie i — o ile znam twórczość francuskiego pisarza — bardzo trafnie zanalizował Jan Dobraczyński w swoim, niesłusznie zapomnianym, szkicu krytycznym. Ale Dobraczyński jednego nie podkreślił w swoich wnikliwych badaniach. Bernanos nie wyjaśnia, ale zaciemnia problem świętości, wszystkimi swoim powieściami dowodzi coraz argumentatywniej niemożności wniknięcia w mechanizm zjawisk nadprzyrodzonych. Nie jest to u Bernanosa pochwałą irracjonalizmu, ale zwycięskim przyznaniem się do wiary, która zmusiwszy rozum do posłuszeństwa, nakazawszy mu jak najintensywniejsze badanie skutków, przyznaje się do niemożności przeniknięcia przyczyn i wierzy w przyczyny. Ks. Donissan, czy proboszcz nieznanego nazwiska to dowody wiecznej tajemnicy. Stwarzanie tych dowodów jest jeszcze jedną zasługą autora „Zbrodni“. Ale na tym właśnie polu — i po to stwierdzenie zapuściliśmy się w szkicowy wywód o tajemnicy świętości — Werfel osiągnął więcej niż Bernanos. Świętość bohaterów Bernanosa tłumaczyć się może częściowo niezwykłą dyscypliną ich życia wewnętrznego, ogromnym wkładem ascetycznej pracy nad sobą, pomocą ludzi z zewnątrz, bo chociaż byli to samotnicy, każdy miał swojego ks. Torcy'ego dla poważnych dysput i dialogów, każdy miał obowiązujące wykształcenie teologiczne, każdy wreszcie żył pod błogosławionym wpływem Sakramentów. U Werfla nawet tych częściowych wyjaśnień nie ma. Bernadetta nic nie wie o Trójcy Świętej, nie myśli o włosiennicy i łańcuchu, nie prowadzi uczonych dysput. Jej rozmowy z ks. Peyramale, to nie głębokie, inteligentne rozprawy ks. Donissana z ks. Menou - Segrais czy proboszczem z Luzarnes. A jednak święty z Lumbres nie ozdrowi syna majstra z Plony, gdy za pośrednictwem Bernadetty powrócił do zdrowiann Bernadetty kilkuletni kaleka powrócił do zdrowia, aby w siedemdziesiąt kilka lat później brać udział w konsekracyjnej uroczystości w Rzymie jako „pierworodne dziecko cudu“.

Tajemnica świętości występuje tu wyraziściej, Werfel uintensywnia ją do maksymalnych niemal granic.

Jednak i u niego zrozumienie niemożności poznania tej tajemnicy nie przeradza się w sceptycyzm poznawszy, nie dyktuje pesymistycznej pochwały irracjonalizmu Wszelkie rozumowe przesłanki zostały obiektywnie wykorzystane dla próby racjonalnego pokonania problemu, próba ta wykazała jednak ich niewystarczalność, kruchość, zawodność. Ujemny wynik takiej próby nie równa się jednak bankructwu rozumu, określa tylko siłę i wielkość zjawisk nadprzyrodzonych. Bo nie o negatywne określenia możliwości racjonalnego poznania, ale o pozytywne sformułowanie wyższości zjawisk niedostępnych temu poznaniu mówi książka Werfla. I jeśli przedstawiony w niej bieg wydarzeń zechce ktoś traktować inaczej, zgubi po drodze najważniejszy problem, stanowiący zasadnicze źródło przedstawionych w „Pieśni o Bernadecie“ konfliktów.

Problemem tym jest problem cudu. W pierwszej części artykułu wskazywaliśmy symetrię kompozycyjną, zaznaczając, że jest ona wyrazem nie tylko formalno - graficznej ambicji systematycznego opisu. Werfel w kreśleniu poszczególnych etapów ustosunkowywania się poszczególnych ludzi do nadprzyrodzonych zjawisk groty messabielskiej uchwycił jeden z najbardziej zasadniczych konfliktów katolickich, jedno z najboleśniejszych zagadnień: niezdolność do odczuwania drugiego porządku świata, niezdolność tłumaczenia porządku przyrodzonego na porządek nadprzyrodzony, niezdolność praktycznego życia wiarą. Dowodem na to nieufność, a po przezwyciężeniu nieufności, nieświadomość przeżywania cudu. Przyzwyczajono się do cudu, pielgrzymowano do Lourdes nie jako do źródła Łaski, ale jako do wspaniałej krynicy kuracyjnej. Medyczne jej walory zasłoniły wszelkie inne. Jedyna Bernadetta o grocie messabielskiej pamiętała przede wszystkim jako o miejscu pojawienia się Pani. Dla innych było to miejsce fenomenalnych zabiegów lekarskich. I tu problem świętości znalazł swoje oświetlenie, chociaż nie rozwiązanie. Tu Werfel znów spotkał się z Bernanosem w potępieniu bierności, obojętniactwa, letniości religijnej. Świętość Bernadetty pozwoliła jej zachować głęboką świadomość właściwej hierarchii wartości: dla niej i tylko dla niej cudowne źródło było ogromną radością jako wyraz bezpośredniego kontaktu z Bogiem, a nie jako wspaniałe ulepszenie Baden-Baden, czy Ciechocinka. Ona jedna od początku do końca rozumiała, umiała przeżywać cud.

A pozostali?

W sprowokowaniu tego pytania, w bezwzględnej na to pytanie odpowiedzi kryje się główny walor książki. I pytanie i odpowiedź są oskarżeniem. Oskarżają o spłycenie przeżywania Boga, o uczynienie z religii korzystnego kontraktu, o handlowanie wiarą, o zagubienie istotnego sensu zjawisk nadprzyrodzonych. A faktów prokurator potrafił przytoczyć wiele. Nie przymiotnikami i emfazą oratorską porusza sumienie. Jednym ruchem ręki i jednym zdaniem: „patrzcie, jak było!“ Niemym wezwaniem: „powiedzcie, jak jest?“

Nie ma jednak w tym oskarżeniu jakiejś pasji oskarżania dla wydobycia najsurowszego wyroku. Jest raczej usilna dążność do zmiany na lepsze . Spłycenie życia religijnego w relacji Werfla nie wynika ze złej woli czy podłości ludzkiej, ale z nieświadomości faktów, jakie się wokół nich dzieją, z tragicznej umiejętności nie dziwienia się cudownej istocie zjawisk nadprzyrodzonych, ze zgubnej zdolności przyzwyczajania się do cudu.

Prawda, że Bernadetta niczemu się nie dziwi, że cudowne źródło jest dla niej oczywistością, ale też, jedyną oczywistością jest dla niej Najświętsza Panna. W tym jeszcze jedna tajemnica świętości. Natomiast ludzie, którzy nie widzieli na własne oczy Pani z groty messabielskiej, nie mieli prawa nie przeżyć cudu jako cudu to znaczy: nie uznać oczywistości porządku nadprzyrodzonego, czyli: nie podporządkować jemu przyrodzonej, ziemskiej rzeczywistości. Uwierzyli pozornie, połowicznie, uwierzyli tą połową swojej wiary, która korzysta z przywilejów, ale nie tą, która pamięta o sumie zobowiązań. Uwierzyli sobie, a nie Bogu.

Groza takiej wiary wisi nad naturą ludzką. Zwalczy ją tylko miłość, przez którą droga do świętości.

***

Takich prawd świadectwem wydaje się być „Pieśń o Bernadecie“. Oczywiście, nie tylko takich. Jak w rozpatrywaniu elementów formalnych tak i w rozważaniu treściowych walorów utworu musieliśmy ograniczyć się do najważniejszych jedynie momentów.

Nawet jednak z tej ogólnej analizy można wysnuć wniosek końcowy, że to, co stworzył Werfel w swojej „Pieśni o Bernadecie“, jest dla literatury i myśli katolickiej jednym z tych osiągnięć, które notować należy z wielką radością i wdzięcznością, jako wyraz wiecznie żywego i twórczego ducha chrystianizmu. **Zygmunt Lichniak**

Z naszego stanowiska

DZIWY PRAWDZIWE

„Trust muzgów“ stołecznych Miejskich Zakładów Komunikacyjnych pracował długo i intensywnie przez rok 1948, by przygotować reformę biletową, na którą cierpi Warszawa od pierwszych dni 1949 roku. Chodziło bowiem, jak się potem okazało, nie tylko o zasilenie ponoć zbyt ubogiej kasy tej wielce pożytecznej instytucji, lecz, i przede wszystkim — aby spowodować zmniejszenie frekwencji na przeciążonych tramwajach, trolleybusach, Chaussonach itd.

W rezultacie, po wielu eksperymentach raczej bardziej niż mniej nieudanych doszło do tego, że posiadamy w kursie jedenaście (!) typów najrozmaitszych biletów, płyną jedne po drugich najdziwniejsze instrukcje i okólniki, nad którymi biedzą się konduktorzy i kontrolerzy, pocą się urzędnicy, wydający przedziwne, skomplikowane i długaśne bilety, wściekają się pasażerowie, zmuszeni do dokonywania najdziwniejszych formalności, zrzędzą instytucje, które są zmuszone, w dobie oszczędności, do trzymania specjalnego personelu, stale zatrudnionego sprawami kupna, wymiany, wydawania biletów — a tramwaje, autobusy i trolleybusy jak były pełne, tak pełne chodzą i dziś. To jedno zresztą niepokoi „trust muzgów“ naszych EMZETKA.

Ważne jest to, że tak precyzyjnie obmyślany plan zmniejszenia frekwencji w tramwajach, autobusach i trolleybusach — nie powiódł się. Istotnie tramwaje warszawskie w dalszym ciągu wyglądają jak dojrzałe kiście winogron, tak są obwieszone pasażerami, istotnie Chaussony umykają przepełnione na przystankach przed czekającymi niczym niepoprawni przechodnie przed milicjantem, a biedne trolleybusy rozpłaszczają się coraz to bardziej.

Dlaczego?

Oczywiście przede wszystkim dla najprostszej przyczyny, że jest i długo jeszcze będzie za mało środków komunikacyjnych w Warszawie. Ale obok tego istnieje druga niemniej chyba ważka przyczyna, którą tu chcielibyśmy wyświetlić. Otóż ona: za mało dba się dziś o oszczędzenie naprawdę zapracowanemu obywatelowi niepotrzebnych przejażdżek i niepotrzebnego tracenia czasu. Tak, biurokracja, która na odcinku M.Z.K. próbuje wydawać wojnę przeciążeniu komunikacji — ma największego wroga, nie jak sugeruje, w nieodpowiedzialnym pasażerze, lecz w biurokracji.

Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą, mówi polskie przysłowie. Toteż i prasa „skacze“ nieustannie na biurokrację, która jest niewątpliwie jednym z najbardziej pochyłych drzew dzisiejszego życia. Nie chodzi tu jednak o doraźny efekt. Trzeba sobie uświadomić, że przebudowa naszego życia cierpi jeszcze dziś na wiele niedomagań, z których chyba najpierwszym jest niedocenianie problemu wygody człowieka, tam, gdzie tę wygodę można bez szkody dla spraw ważniejszych osiągnąć. A w rezultacie — jak to chcemy udowodnić, cierpi na tym nie tylko jednostka, lecz i cały niepotrzebnie przeciążony formalnościami aparat publiczny.

Przykład? Służymy. Zdarzyło się komuś ze znajomych, że musiał wyrobić sobie jakiś dość ważny osobisty dokument. Poszedł do odpowiedniej instancji i po długim szukaniu (bo z zasady nikt nie informuje i nie ma tablic orientacyjnych), odszukał właściwego referenta. Otrzymał formularz i kwestionariusz. Zarządano od niego przedstawienia 8 załączników. Wyrobienie każdego z owych ośmiu załączników — wymagało przedstawienia w odpowiednich niższych instancjach — dalszych załączników. Świadectwo obywatelstwa np. wymaga przedstawienia metryki (dlaczego nie wystarcza dowód osobisty?), wyciągu z Miejskiej Ewidencji Ludności (dlaczego nie odcinka zameldowania?). To wszystko wymaga jeżdżenia po mieście do najrozmaitszych urzędów, czekania w niekończących się kolejkach, stukania do niezliczonych okienek. Ludzie jeżdżą tam i sam po Warszawie bez przerwy w poszukiwaniu papierków, załączników, referentów. Ile czasu i ile miejsc w tramwajach oszczędzono by upraszczając znacznie skomplikowane czynności biurokratyczne.

Parę dni temu dostałem (osobiście) wezwanie do Wydziału Wojskowego Zarządu Miejskiego (na Pragę), by tam po stracie czasu i biletów tramwajowych dowiedzieć się tylko — że mam za dwa tygodnie stawić się gdzie indziej w tej samej sprawie.

Oczywiście współdziałające z Komunikacją Miejską inne instytucje pomagają intensywnie w zmniejszaniu frekwencji. Na przykład telefony. Ostatnio skasowano w śródmieściu wszystkie rozmównice publiczne poza pocztą główną i Hotelem Polonia. Pan Iksiński przeto, który chce w drobnej sprawie zasięgnąć informacji u Ygreka, a nie ma czasu na czekanie godzinami na kolejkę na poczcie — wsiada do tramwaju i jedzie, na Pragę, na Mokotów, na Wolę. Cóż ma zrobić? Wierzę, że telefony są potrzebne różnym instytucjom. Niemniej nie kasowanie, lecz założenie z 10 publicznych rozmównic w centrum miasta ułatwiłoby niesłychanie życie ludziom, a sądzę, że oszczędziłoby komunikacji miejskiej parę tysięcy zbędnych pasażerów.

Można by takich przykładów mnożyć setkami. Po co, wszyscy o tym wiedzą. Drobne potrzeby dnia codziennego nie są tylko zachciankami ludzi. Wymagają przemyślenia, koordynacji, bo tkwi w nich zawsze społeczna potrzeba. Na przkładzie komunikacji warszawskiej widzimy, że problem ten, to nie jak chcą go widzieć niektórzy — problem walki z wygodnictwem i brakiem poczucia odpowiedzialności ze strony przeciętnego pasażera, który nadużywa udogodnień publicznych ze szkodą dla całości. Problem komunikacji to ogniwo wielkiego problemu racjonalnego zorganizowania życia współczesnego człowieka, zorganizowania, które by odpowiadało jego potrzebom, oszczędzało obu stronom niepotrzebnych kosztów, likwidowało przerosty formalistyki, ciążące niepotrzebnie nad życiem publicznym.

Alfa

Maria Morstin-Górska

Odnaleziona Prawda

... „Podobne jest Królestwo Niebieskie człowiekowi kupcowi, szukającemu dobrych pereł. A znalazłszy jedną drogą perłę, odszedł i sprzedał wszystko co miał i kupił ją..." Znany ten ustęp z Ewangelii przychodzi często na myśl przy czytaniu niewielkiej, pięknie wydanej książki Jerzego Zawieyskiego: „Owoc czasu swego". Jest ona bowiem cała przeniknięta radością i zachwytem nad znalezioną, drogą perłą, dla której nie ma dość wielkiej ceny — nad odnalezioną Prawdą. Dawanie świadectwa tej Prawdzie, to istotna przyczyna powstania a także największe osiągnięcie ostatniego dzieła autora „Drogi do Domu".

Ulubiona przez Francuzów a tak rzadko używana przez polskich pisarzy forma „Myśli" — to jest luźnych uwag, notatek i rozważań, w których twórca powieści i dramatów wypowiada się przed czytelnikiem już nie przez swoje postacie ale wprost, dając mu jakgdyby wyizolowany komentarz autorski do swoich utworów — przystaje tu doskonale do treści, będącej jednocześnie poufnym zwierzeniem i chęcią podzielenia się z bliźnimi swoim odnalezionym skarbem. Najgłębszy jej sens, to wołanie zagubionych we mgle i dawanie im wymownych znaków wskazujących gdzie się on znajduje, gdzie można i trzeba go szukać.

To pragnienie dzielenia się Prawdą jest dominującym tonem uczuciowym tej niezwykłej książki i przenika jej karty wewnętrznym ciepłem i bezpośredniością, porywającą w miarę wgłębiania się w nią nawet z początku sceptycznie usposobionego i trochę przestraszonego wielkimi słowami czytelnika. Bo to wezwanie do bijącego wśród pustyni źródła nie brzmi tu apodyktycznym nakazem i zadowoloną z siebie pewnością wiedzy, ale ma w sobie dźwięk autentycznej, żywej, chrześcijańskiej miłości.

Trudniej jest zdać sprawę z intelektualnego ładunku „Owocu czasu swego", gdyż autor porusza bardzo wiele i to najróżnorodniejszych zagadnień religijnego życia — poza tym mówi nam jeszcze o trudnościach naszej przełomowej epoki i o wartości i zadaniach sztuki. Mówi o tych rzeczach nie według jakiegoś określonego planu ale tak jak mu się te refleksje cisnęły pod pióro, jak poszukujące Prawdy myśli zatrzymywały się po drodze przy tych lub owych zdobyczach czy niepokojach człowieka i artysty. Ale i tu możemy wykryć jakiś znamienny, głęboki nurt, który wyróżnia książkę Zawieyskiego od innych pokrewnych zwierzeń religijnych. „Owoc czasu swego", to, jak już powiedzieliśmy, świadectwo pisarza, który odnowionym przez Łaskę wzrokiem patrzy na tajemnicę Bytu i losu człowieka — który wrócił po długim okresie zwątpienia do chrześcijaństwa i przylgnął do niego całą istotą. Otóż różne są u różnych ludzi akcenty tego powtórnego spotkania z Bogiem, które tylu katolików przeżywa jako swoje wewnętrzne nawrócenie. „— Jak nazwać tę jedyną chwilę nawiedzenia? tę rzeczywistość nową, od której wszystko się zaczęło i świat się się odmienił i życie się odmieniło? Czy można przekazać ten głos, słyszany od wewnątrz, realne jego wezwanie: Pójdź za mną?" — A jednak wielu próbowało ją opisać, wysuwając na pierwszy plan różne motywy pójścia za tym wezwaniem.

U Zawieyskiego na czoło ich wybija się szczęście i pewność odnalezienia Prawdy — bo Prawdy też przede wszystkim w religii i świecie szukał — jak pisze „naglony potrzebą całej swojej istoty" Recenzent „Tygodnika Powszechnego" podkreślił akcent nadziei, zamykający „Owoc czasu swego". Ale Nadzieja pojawia się tu nie jako pociecha czy próba oparcia naszej słabości o ponadziemskie dobro — i ona również, tak samo jak wiara i miłość, jest dla Zawieyskiego córką Prawdy, Rzeczywistości absolutnej, niezależnej od naszego nastroju i sposobu pojmowania. „Walka o Prawdę i prawdziwość poznania nie jest tylko walką przekonań czy przeświadczeń, wyrażających się w systemach i teoriach, lecz jest niejako walką o samo życie". — „Poznający Prawdę są tymi, którzy poznają Boga". — „Bóg nie jest teorią, lecz Prawdą". — „Wiemy także, że Bóg daje znać o Sobie przez głód Prawdy, przez tęsknotę serca, przez nienasycenie umysłu". „Jam jest Prawdą" powiedział Chrystus w nocnych rozważaniach z Nikodemem, który zapewne spodziewał się filozoficznych definicji lub systemu na wzór ludzki, na wzór ówczesnych myślicieli greckich i rzymskich.

„Jam jest Prawdą", odpowiedział Chrystus sceptycznemu Piłatowi, którego sceptycyzm jest sceptycyzmem naszych czasów".

Jak u Norwida wraca wciąż w rozważaniach Zawieyskiego słowo i pojęcie Prawda — najcenniejsza perła jaką autor mógł posiąść. Szukał jej i znalazł ją w Chrześcijaństwie ale także przyjął chrześcijaństwo nie dla innych powodów, nie dla jego piękności moralnej ani dla ukojenia znużonej duszy, tylko jedynie dlatego, że ono zawiera tę Prawdę jedyną i żywą „której głód jest głodem ludzkiego umysłu i ludzkiego serca". Przyjęcie miłości jako jedynej, dobry plon rodzącej, podstawy stosunków między ludźmi musi z niej wyniknąć nieubłaganą konsekwencją. „Albowiem — jak czytamy w „Owocu czasu swego" — odnalezienie Prawdy oznacza narodziny dla niej". — „Mamy odtąd żyć w prawdzie, która ku sobie podnosi każdą naszą myśl i każdy nasz czyn. Prawda nie zna kompromisu, łatwej i taniej wygody, nie zaświadczy nieczemu, co jej nie dorówna". — „Dramat chrześcijanina, to walka o dochowanie wierności Prawdzie". — „W jej blasku świat odzyskuje nową widoczność a sprawy życia nową hierarchię". — „Bo Prawda wraca ku rzeczom, jako pełna wiedza o nich i pełne światło, które mroki chaosu rozświetla" — cały więc ład życia chrześcijańskiego z niej żyje i w niej się zawiera.

Nie potrzebuję dowodzić, że takie wysunięcie na pierwszy plan Prawdy jako naczelnej wartości religii i chrześcijaństwa jest i zgodne z teologią i najbardziej przekonywujące. Człowiek współczesny łaknie prawdy, łaknie także w świecie duchowym dotknięcia rzeczywistości. Z drugiej jednak strony utylitaryzm, ocenianie wszystkiego nie według tego czym jest istotnie, ale według tego czy prowadzi do wytyczonego celu, przeniknął tak bardzo atmosferę naszego świata, że może podświadomie zarażać i myśl chrześcijańską, jeżeli nie będzie ciągle wracać do swych nieskażonych źródeł i dbać o tę bezinteresowną czystość, która powinna być zawsze jej znamieniem. „Życie dla Prawdy, ponieważ jest Prawdą — nie prawda dla życia jak głoszą utylitaryści" — przypomina nam Zawieyski. Konsekwentne i szczere zajęcie takiego stanowiska sprawia, że ta piękna książka, mówiąca tyle o stosunku do Boga i ludzi nie wpada w ton moralizatorski. Kaznodziejstwo w literaturze nie jest przecież niczym innym jak tylko utylitaryzmem, płynącym nieraz ze szlachetnej gorliwości ale kryjącym w sobie zawsze ziarno sprzeniewierzenia się Prawdzie. W tej samej czystości atmosfery rozpatruje Zawieyski zagadnienie sztuki. Ujmując ją według nauki św. Tomasza nie pomniejsza ani też nie wyolbrzymia jej znaczenia. „Artysta jest naśladowcą Boga i kontynuatorem Jego stworzenia". — „Nic nie zastąpi sztuki w jej zdolności władania duszami". — „Artysta tworzy w porządku miłości czyli oddany jest przez miłość i poznanie Bogu. — przez uwielbienie człowieka i życia, przez nieustanny akt miłowania wszystkiego, co jest". Ale autor „Owocu czasu swego" wie również, że sztuka sięgając do nieba, wyrasta jednak z ziemi, należy do świata darów przyrodzonych. „Artysta jako człowiek wie, że sztuka go nie zaspakaja, że nie wypełnia mu całego życia. Wie on, że istnieje rzecz większa niż sztuka, że ona nie powie mu słów życia, że mądrość posiadają ubodzy duchem i pokój czyniący". Dlatego i artysta nie może tworzyć wyjątkowych praw moralnych dla siebie — i jego obowiązuje pokora, która także jest przede wszystkim widzeniem siebie w świetle Prawdy.

Ten, który uczciwie jej szukał zna też długą i trudną do niej drogę, znajdzie więc zawsze zrozumienie dla tych, co jeszcze do niej nie doszli i współczującą miłość dla tych, którzy może rychło do niej nie dotrą. Do nich zwraca się też przede wszystkim autor „Owocu czasu swego" pragnąc wypowiedzieć na nowo to słowo wzgardzone, zranione boleśnie: bracie...

Odzyskując Prawdę odnajduje także pisarz zagubioną wartość wyrazu. Zawieyski nie boi się wielkich słów, bo nie są one dla niego martwe i puste, pozbierane po drodze na śladach innych poprzedników. Przetopione „w ogniu miłości" odzyskują tu blask i życie, które im odebrali fałszerze Prawdy. Żyją i niosą życie w sobie. A może nie ma większego triumfu dla poety, jak według norwidowego określenia „móc wrócić słowom ich wygłos pierwszy", ich pełne znaczenie i wagę. Można ich wtedy używać jak w „Owocu czasu swego" — z wytrawną prostotą, pod którą czujemy surową dyscyplinę pisarską i rzetelny wysiłek precyzyjnego wyrazu. Styl Zawieyskiego, pełen wewnętrznego żaru przy zupełnym braku fanatyzmu i polemicznej namiętności, wprowadza nas w znaczenie pojęcia, które bywa tak często nadużywane i wypaczone a jednak wyraża najistotniejsze hasło chrześcijaństwa — **pokój.**

Staranność w wykonaniu okładki i estetyczny układ graficzny, cechujące wszystkie wydawnictwa Verbum, osiągnęły w jego szacie zewnętrznej swój punkt szczytowy. Dobrze że jest tak miły dla oka, bo to jest książka, do której będziemy często powracać.

*) Jerzy Zawieyski — Owoc czasu swego. Wyd. Jedność — Verbum — Kielce, 1949, str. 132.

Film a środowisko

Podstawą dla twórcy dobrego scenariusza filmowego jest znajomość epoki i środowiska. Film niezależnie od swych wartości artystycznych, musi przemawiać do widza rzeczywistością. Każda sztuczność w scenariuszu w realizacji filmowej ustokrotnia się, każdy fałsz, choćby popełniony w imię najwyższej sztuki, swym zgrzytem zdolny jest zamącić całą harmonię najlepiej skomponowanego dzieła filmowego.

Gdy cofniemy się myślą wstecz — robiąc przegląd widzianych przez nas filmów — znajdziemy uzasadnienie takiego twierdzenia. Za wyjątkiem filmów o tematach fantastyczno - baśniowych, stwierdzimy, że najgłębsze wrażenia artystyczne odnieśliśmy na filmach, których twórcy kierowali się tą właśnie zasadą.

Dokładne przestudiowanie środowiska przez reżysera jest więc podstawą budowy dobrej konstrukcji dramatycznej i artystycznej.

Literat André Gide i reż. Delonny pół roku spędzili w zapadłej wioszczynie górskiej — gdzie miała się toczyć (odgrywać) akcja w Symfonii Pastoralnej — studiując krajobraz, plenery, światła, nastroje i obyczajowość ludności.

Twórcy „Zapomnianej wioski" rok tkwili w jakiejś dziurze w Meksyku.

Wojenne filmy radzieckie wstrząsają widza swym realizmem, gdyż autorzy przez cztery lata walcząc w szeregach Armii Czerwonej — na wskroś poznali i odczuli elementy życia wojennego.

Arsen Welles dziennikarz i radiowiec „zbudował" swego „Obywatela Kane'a" na podstawie własnych przeżyć w środowisku wielkich prasowych koncernów.

Tylko Réne Clair — paryżanin z krwi i kości mógł przetransponować Paryż z jego oryginalną atmosferą — toteż, gdy weźmiemy „Milion" czy „Pod dachami Paryża" stwierdzamy choćby myśmy mieszkali całe życie na równiku, że to co widzimy na ekranie jest właśnie prawdziwy Paryż i jego żywi ludzie.

Jacques Feyder — przez 3 lata przeprowadzał gruntowne studia muzealno-biblioteczne i terenowe dla swego „La Kermesse heroique" (polski tyt. „Zwyciężyły kobiety"), film ten do dziś dnia zachował swój prymat artystyczny.

Niektórzy realizatorzy posuwają się nawet dalej. zabierają ze sobą głównych aktorów na teren akcji filmu i tak np. Jean Gabin dla odtworzenia swej roli w „Repé le Moko" przesiedział ok. 3 miesięcy w Północnej Afryce wżywając się w „klimat" przeżyć swego bohatera.

Ukończony w ub. roku film francusko włoski „Fabiola" był przygotowywany i realizowany w Rzymie (II wiek po Chrystusie).

Aktorzy i realizatorzy wysłuchiwali wykładów najwybitniejszych naukowców specjalistów starożytności.

Sergiusz Eisenstein powołał do współpracy nad swym „Aleksandrem Newskim" cały sztab historyków i socjologów.

Ostatnio kinematografia włoska zastosowała ten realizm wiążąc akcję filmu z autentyczną kroniką filmową. Specjalnie wyróżnili się reż. Rosselini Aldo Vergano (obecnie w Polsce). Filmy jak „Succia", „Roma villa overte", czy „Paisa" niewątpliwie będą stanowiły punkt wyjściowy nowej drogi filmu.

O ile chodzi o filmy współczesne, scenarzysta i reżyser odtworzą najlepiej znane im środowisko z życia. Wtedy bez niczyjej pomocy sytuacje, charaktery — konflikty — będą się „życiowo układały same".

Dowiedzionym jest na podstawie praktyki, że autor scenariusza nie musi być wybitnym literatem. „Dyplom" literata bynajmniej nie jest dyplomem scenarzysty. Scenarzysta jest raczej gawędziarzem czy „opowiadaczem" historii w obrazach i aby ją dobrze i zajmująco opowiadał i mógł sugerować otoczeniu swe wrażenia czy sądy — musi to robić ciekawie. Tu dochodzimy do sedna sprawy: — wydaje się, że poszukiwanie scenarzysty filmowego wśród wielkich nazwisk obecnych literatów jest do pewnego stopnia błędem.

Mówi i pisze się dużo o wsi, o robotnikach.

Czy (reasumując poprzednie wywody) nie należałoby poszukać scenarzystów do tych filmów właśnie na wsi, w hutach, kopalniach lub zakładach włókienniczych?

To nie ważne, że dziś jeszcze język tych ludzi jest chropawy, „nieuczony", że zdania mogą być niezdarne — nie o to w filmie chodzi, bo zdania i język wyszlifują odpowiedni specjaliści, ale pewnym jest, że zdolny reżyser nawet z takich zdań, a dalej opowiadań stworzy koncepcję i artystyczną i z prawdziwego zdarzenia.

Oczywiście taki scenariusz nie powstanie z dnia na dzień. Twórcom trzeba stworzyć „atmosferę". Przede wszystkim atmosferę spokoju materialnego i zaufania. Subwencje na taki cel opłaciłyby się znacznie lepiej, niż kupowanie w braku czegoś lepszego scenariuszy typu rok 1925 i to klasy „C".

Mogliby się taką akcją, konkursem dorocznym zająć kierownicy świetlic wiejskich czy fabrycznych. Głównym jednak warunkiem musiałby być temat oparty o środowisko autora — po prostu dlatego, aby nie powstała epidemia (a wiemy, jakie to groźne) grafomaństwa, tym razem filmowego.

Do popularyzacji zagadnienia przyczynić się może powstawanie po wsiach czy ośrodkach przemysłowych „Klubów filmowych" z prelegentami i akcja kin objazdowych.

Hasło „film dla mas" realizowane jedynie przez budowę nowych kin czy parę filmów produkcji krajowej rocznie nie doczeka się pełnej realizacji w bieżącym stuleciu.

Film o miastach dla wsi i o wsi dla miast przyczyni się do zasypania przepaści, niestety dzielącej jeszcze dość poważnie te dwa „światy".

Jest to praca „długofalowa", ale znajduje usprawiedliwienie w młodości sztuki filmowej.

J. Majkut

Jan Dobraczyński

QUO VADIS — PO 52 LATACH

(Dokończenie ze str, 2-ej)

według zapewnień Klemensa (tego samego, który określił miejsce jego śmierci), „zaszedł na krańce zachodu"— co rozumiemy jako Hiszpanię (wyraźniej: „profectione Pauli ab urbe ad Spaniam" — fragm. Murat), odwiedził Korynt, Troadę, Efez, Milet, Nikopolis w Epirze, Kretę. W czasie podróży napisał listy do Żydów, do Tytusa, dwa do Tymoteusza.

Tymczasem jeżeli chodzi o Pawła, to Sienkiewicz chcąc go pomieścić w swojej powieści, przeprowadza dość swobodną kalkulację czasu. Gdy akcja „Quo vadis" rozpoczyna się (jesień 63 r.) Paweł jest jeszcze w więzieniu(!). Potem zaraz dowiadujemy się, że został uwolniony i wyjechał. Niedługo jednak z początkiem 64 r. pojawia się znowu by „ugiąć tą dumną głowę" (I, 228). Trudno sobie wyobrazić, aby mógł w czasie 1 — 2 miesięcy — bo tylko tyle pozostawił mu autor — objechać całe morze Śródziemne!

Zresztą gdybyśmy nawet tezę o śmierci obu Apostołów tego samego dnia — wbrew współczesnej nauce — przyjęli, pozostaje inna sprawa, której Sienkiewicz całkowicie nie uwzględnił. Od razu na początku powieści dowiadujemy się, że listy św. Pawła czytane są w Rzymie, nawet je „czytuje chciwie" Akte. Pod koniec powieści (II, 244) spotykamy uwagę: „odkryto... iż jeden z wyzwoleńców cezara był chrześcijaninem i znaleziono u niego listy Apostołów Piotra i Pawła z Tarsu oraz listy Jakuba, Judy i Jana".

Jeżeli chodzi o listy św. Pawła to mam wątpliwość, czy, poza przeznaczonym dla gminy rzymskiej listem, inne mogły być znane w tym czasie w Rzymie. Znajomość pióra i pracy Pawła w Rzymie nie musiała być duża, skoro nie znali go przecіwnicy — przedstawiciele siedmiu synagog rzymskich (Dz. Apost. 28, 21). To, że „bracia tamtejsi" wyszli mu na przeciw (Dz. A. 28, 15), nie mówi czy to nie była przypadkiem tylko grupka krewnych i znajomych.

Posuwając taką sugestię, opieram się na liście drugim do Tymoteusza, z którego wynika, że Paweł miał wielu wrogów — nawet wśród chrześcijan (podobnie pisze Klemens w swym pierwszym liście do Koryntian: „dla zawiści i zwady wziął Paweł wytrwałości nagrodę"), a w Rzymie nie był wcale otoczony przyjaciółmi. Musiał istnieć jakiś tragiczny rozdźwięk między Apostołem, a gminą rzymską — rozdźwięk, który zniknął dopiero po jego śmierci. Wszak pisze Paweł z bólem do ukochanego Tymoteusza: „W czasie pierwszej mej obrony nikt nie był przy mnie, ale wszyscy mnie opuścili" (II, Tym. 4, 16). Za drugim znalezieniem się w więzieniu było jeszcze gorzej: „Wszyscy z Azji... odeszli ode mnie" (1, 15). „Jedynie Łukasz jest ze mną" (4, 11).

Wobec tych tajemniczych rozdźwięków nie wydaje się, aby pozycja Pawła mogła była być w Rzymie taką, jaką przedstawił Sienkiewicz.

No i gdybyśmy się pogodzili od biedy z listami Piotra, Pawła, Judy i Jakuba — to prawdziwą niespodziankę robią znalezione listy św. Jana, które powstały, jak wiemy, po napisaniu IV Ewangelii, a więc w ostatnich latach pierwszego stulecia!

***

Brak wiadomości u Sienkiewicza o świecie chrześcijańskim nie wypływa na pewno z jakiegoś zaniedbania ze strony pisarza. Po prostu klimat epoki, w której żył, charakteryzowała chęć podważenia wszystkich autorytetów nauki Kościoła. Naiwne — wobec dzisiejszego stanu wiedzy i straszliwie dowolne wywody Renana uważane były nieomal za ostatni krzyk krytyki naukowej. Przy tym nie zapominajmy, że Renan nie zaprzeczał przynajmniej historyczności istnienia Jezusa, ani też całkowicie prawdzie Ewangelii. Ale pod skalpelem Harnacków, Loisy'ch, Holzmannów, Clemanów ctterem Księgom Ewangelicznym groziła po prostu zagłada. Nieomal każda perykopa brana była pod światło i odrzucana raz w imię rzekomej interpolacji— drugi raz w imię rzekomej kłamliwości. Protestancka biblistyka niemiecka przeciwstawiła się od razu autentyczności 4-tej Ewangelii, starała się podważyć autentyczność połowy prawie listów pawłowych. Życie Jezusa potraktowane zostało jako mit, jako sugestia, jako świadoma legenda. Gdy Renanowi wystarczał Jezus „częściowy" uwolniony od „balastu" cudów — boć przecież „można być dobrym Francuzem — pisał Renan — nie wierząc w świętą ampułkę, można kochać Joannę d'Arc, nie wierząc w rzeczywistość jej widzeń" — Drewsowi, Kalthoffowi, Radlińskiemu, Niemojewskiemu przeszkadzało samo istnienie Syna Maryji. Dla Niemojewskiego — którego książka „Bóg Jezus" wyd. w 1909 i zaraz potem w 1910 przetłumaczona na niemiecki, miała być „jednym z największych zjawisk w literaturze wszystkich ludów", a która nie znalazłaby dziś nawet dziesięciu czytelników — wiara w Jezusa jest jedną z odmian kultu powszechnej religii. Według niej — jak pisze ks. Szydelski w „Początkach chrześcijaństwa": „wiadomość o cudach i zmartwychwstaniu nie jest żadną nowiną: w Antiochii od dawna już obchodzono na wiosnę śmierć i zmartwychwstanie Adonisa. To samo działo się także w Egipcie z Ozyrysem. Firmicus Maternus opisuje też śmierć i zmartwychwstanie boga Attisa. W Judei nawet znane były te same obrzędy na cześć Tammuza. Bóg Mitra jest pośrednikiem pawłowym. Były i sakramenta przed Chrystusem, był chrzest i, komunia. Święcono niedzielę. U Hindusów istniały już przed chrześcijaństwem krzyże „swastykami" zwane. Chrześcijaństwo wobec tego nie jest nową jakąś religią, ale „wygląda na jakiś ruch etyczny odrodzeńczy". Uczniowie z czasów Pawła „na ruchliwej fali wierzeń i kultów byli dopradwy niejako rybakami, miotanymi przez burze, a jedność między nimi wytwarzały głównie dążenia etyczne a nie dogmatyczne". Nie chodziło im o życie ziemskie Zbawiciela. Co trzeba było wiedzieć, wiedziano z kultu Mitry, Adonisa, Attysa, „dbano natomiast o sprawiedliwość, o redukcję krzywd społecznych". Listy, najstarsze świadectwa chrześcijańskie, nic nie wiedzą o Chrystusie jako człowieku. Ich Jezus jest „tylko odmianą Ozyrysa, Tammuza, Attisa, Adonisa", Jezus-Bóg zaś w Ewangelii osnuty jest „we wszystkich niemal szczegółach na legendzie indyjskiego Buddy"."

Chorobliwa pewność siebie naukowców końca 19 wieku, idących „szlakiem wiedzowych przyrodników" utrzymywała naukę katolicką na pozycjach defensywnych. W tych warunkach Sienkiewicz nie posiadał zbyt wiele materiałów, z których mógł był zaczerpnąć wiadomości o życiu chrześcijan I wieku.

***

Ale opory istniały i w samym pisarzu.

Sienkiewicz należy w całości do swojej epoki, to też jego katolicyzm nosi wszelkie znamiona polskiego, 19-wiecznego „fideizmu". Czym był fideizm — o tym pisze znakomicie O. J. Woroniecki w swym niezrównanym studium „U podstaw kultury katolickiej". Spróbuję jednak zanalizować jakie aspekty fideizmu wysuwają się na plan pierwszy u autora „Quo vadis".

Sienkiewicz jest sam tym obdarzonym bujną naturą romantykiem. Winicjusz posiada w sobie więcej cech własnych pisarza, niż to się pozornie może wydawać. Sienkiewicza można uważać za charakterystyczny typ natury szlacheckiej. Kiedyś starałem się to „szlachectwo" zanalizować i wtedy stworzyłem pojęcie: szlachcic polski ma usposobienie „żołnierza na urlopie".

Żołnierz wie, że walczy, że naraża życie dla wielkiej sprawy. To pozwala mu mieć duże mniemanie o sobie. Łączy się z tym przekonanie: skoro jestem tak ważną osobistością, wolno mi wszystko to, czego nie wolno innym, nie walczącym. Wojna usprawiedliwia z wielu rzeczy — usprawiedliwia przede wszystkim z własnych namiętności. Ale gdy żołnierz jedzie na urlop, rozbrykane namiętności wcale nie mają zamiaru dać się uśpić. Powiada: w imię wojny, w której brałem udział, w imię wojny, do której jeszcze wrócę — wolno mi wszystko.

Głosząc hasło „Polska przedmurzem chrześcijaństwa" szlachta polska 17 i 18 w. degenerowała się w najbardziej niechrześcijański, nie znający żadnego hamulca stan społeczny.

Wojna usprawiedliwia wszystko. Czyż nie takimi są bohaterowie „Trylogii", „Quo vadis", „Krzyżaków"? Zabierzmy Kmicicowi, Winicjuszowi, Zbyszkowi wojnę — a stanie się jednostką trudną do zniesienia. Stanie się typem ujemnym — takim Krzyckim z „Wirów". Poza wojną nie ma dla nich ideału życia. A jeżeli jest — to jest to ideał eudajmonizmu, epikureizmu, hedonizmu. Byle by tylko była w tym jakaś miara... Ale czy może być taka miara?

Romantyczna miłość do „najdroższej na świecie głowy" — to przecież ślepe pragnienie posiadania kobiety. Kmicic, Winicjusz, Krzycki gotowi są włóczyć ukochaną głowę po podłodze za włosy, gdyby spróbowała się opierać ich woli. Zrozumienie dla wewnętrznej istoty najdroższej kobiety dokonuje się jedynie poprzez walory ciała. „Patrzył na jej profil, na spuszczone rzesy, na ręce złożone na kolanach i w pogańskiej głowie jego poczęło się z trudem wykluwać pojęcie, że obok nagiej, pewnej siebie i dumnej ze swych kształtów piękności greckiej i rzymskiej, jest na świecie jakaś inna, nowa, ogromnie czysta, w której tkwi dusza" (I, 210).

Lecz co by było z odkryciem duszy, gdyby Ligia nie była aż tak piękna?

Chrześcijaństwo pojawia się w świecie Sienkiewicza jako nauka, która, broń Boże, nie przeciwstawia się ziemskiej miłości i ziemskiemu pożądaniu, ale je tylko przedłuża w wieczność. Świat jest piękny — a tam dalej jest jeszcze piękniej. „Tłumy poczęły śpiewać hymn słodki, powietrze wypełniło się zapachem nardu; woda grała tęczą, jakby z dna przeglądały lilie i róże, a wreszcie łódź uderzyła łagodnie piersią o piasek. Wówczas Ligia wzięła go za rękę i rzekła: pójdź, zaprowadzę cię! I wiodła go w światłość" (I, 209). W tym opisie grają wszystkie tonami zachęty zmysłowe. Raj Winicjusza bliski jest rajowi Mahometa. Nie budzi zastrzeżeń, ponieważ miłość Winicjusza do Ligii jest jasna i piękna. Ale jakimi powabami będzie wabiło tamto życie umierającego Chilona?

Ta potrzeba przechodzenia do raju niebieskiego z raju ziemskiego ukazana jest także w myślach Piotra. Apostoł marzy: „wydawało mu się, iż jeśli sam opuści Rzym, wierni pójdą za nim, a on zawiedzie ich wówczas aż hen, do cienistych gajów Galilei, nad cichą toń Tyberiadzkiego morza, do pasterzy spokojnych, jak gołębie lub jako owce, które się tam pasą wśród cząbrów i nardu" (II, 246).

Nie inaczej naucza Petroniusza Paweł: „Gdyby cezar wyznawał tę naukę, która nakazuje miłość i sprawiedliwość, zali twoje szczęście nie byłoby pewniejsze? Boisz się o swoje radości, lecz czy życie nie byłoby wówczas weselsze?" (I, 39).

Kiedyś A. Gide zmącił spokój ducha F. Mauriaka tłumacząc mu, że werset ze Ewangelii według św. Łukasza: „A kto nie dźwiga krzyża swego i nie idzie za Mną, nie może być uczniem Moim" (14,27) brzmi naprawdę: „kto nie dźwiga swego krzyża, a i d z i e za Mną"... Żaden tego rodzaju advocatus diaboli nie stał przy Sienkiewiczu. Przeciwnie nawet. Sienkiewicz wyrastał w społeczeństwie polskim, skłonnym, niestety, do rozwiązań najłatwiejszych. Wątpliwości moralne nie budzą się u nas łatwo. U nas decydującym jest prawie zawsze ton wypowiedzi, a nie jej treść. Umysłowość polska wychowana jest na przekonaniu, że triumf zaziemski powinien iść w następstwie triumfu ziemskiego. Jeśli się wsłuchać w rozmaite oświadczenia przedstawicieli polskiego katolicyzmu, to dojdziemy do przekonania, że u nas wielu ludzi chce katolicyzmu jako panującego wyznania, ale nie wielu obchodzi jaki ten katolicyzm jest. Kiedyś zrodziło się we mnie przypuszczenie, że katolicyzm polski nie wyszedł tak zupełnie niezraniony z epoki wojen religijnych. Upadek sekt i protestantyzmu w 17 i 18 w. nie tyle był wynikiem odrodzenia katolicyzmu, ile raczej — jego słabości. „Religijne nowinkarstwo" w stosunku do starej religii cechował pewien moralny wysiłek. Otóż czego jak czego, ale moralnego wysiłku, opanowania własnych namiętności obawiał się świat szlachecki jak ognia. Lepszy był minimalizm katolicki, bą, szyld katolicki — niż choćby gorliwy arianizm. Katolicyzm polski zwyciężał swą mniej wymagającą postawą. Zwyciężał — wewnętrznymi ustępstwami. Zapłacił za zwycięstwo — fideizmem. Zapłacił nieujawnioną i niepotępioną, bo nie stać nas było na jawny protest — schizmą. Dopiero społeczna rewolucja, która poczęła się dokonywać od połowy 19 stulecia, przesunięcie punktu ciężkości z warstwy szlacheckiej na chłopską, w 20 w. robotniczą, pozwala na proces oczyszczania się katolicyzmu.

Ale Sienkiewicz z całą swą „szlachetczyzną" tkwił po uszy w nurcie fideizmu. Jeśli chcielibyśmy określić co nazywa się katolicyzmem u pisarza, to należałoby cały zewnętrzny wyraz jego wiary sprowadzić do dwóch spraw: wyznania i wybaczenia.

Winicjusz, Ligia, Chiron — potem Staś Tarkowski — nie zapierają się swojej wiary w obliczu niebezpieczeństwa. Glaukos czy Jurand ze Spychowa — przebaczają wrogom. Ale zarówno wyznanie jak i wybaczenie mają charakter gestu. Gest w sztuce wydaje się często czymś ostatecznym, kropką zamykającą pewną ewolucję moralną. Czy jednak naprawdę tak bywa w życiu? Czy po najpiękniejszych gestach nie przychodzi upadek? Czy zawsze będziemy uzdolnieni do bohaterskiego czynu? Przecież męstwo jest darem. Piękność Ligii i heroizm wyznania Chilona mają nam mówić o życiu duszy. Jakżeż uproszczoną jest tutaj działalność łaski? Nie każda twarz jest piękną, nie każdy wyznawca posiada męstwo. W historii męczenników palestyńskich, opisanej przez Euzebiusza z Cezarei, do wyjątków należeli ci, którzy nie pytani o swoją wiarę, jawnie i głośno ogłaszali się chrześcijanami. Jeden z wielkich świętych pierwotnego Kościoła, bodajże św Ignacy — aż do ostatniej chwili ukrywał się przed szukającymi go żołnierzami, a czyniąc tak powoływał się na wzór Pana Jezusa, który przecież nie oddał się Sam w ręce Swoich wrogów.

Wyznanie i wybaczenie są niewątpliwie czynami moralnie pięknymi, czynami, które swój wzór czerpią z Życia Boga - Człowieka. Ale to są znowu czyny wojenne, nie pokojowe. To jest moment walki o wiarę, a nie — służba wierze. Winicjusz, Ligia, Ursus wyznają swoją wiarę, lecz po ocaleniu rozpoczynają sielankowe życie na Sycylii. Wiemy, że odtąd Winicjusz będzie dobry dla niewolników. Ten skromny wyraz chrześcijaństwa oczywiście jest wystarczający. Byłby wystarczający i w powieści, gdyby się nie pojawił na końcu serii dramatycznych scen męki i prześladowań. Winicjusz, który by wywiózł swoją Kallinę na Sycylię zaraz po pobłogosławieniu ich przez Piotra, posiadałby wewnętrzną logikę, logikę przeciętnego chrześcijanina. Ale pamiętamy, że Winicjusz w chacie fossora patetycznie zapewnił Piotra i Linusa: „przysięgam, że i ja spełnię przykazanie miłości i nie opuszczę braci moich w dniu klęski" (II,100), zaś to oświadczenie wystarczyło Apostołowi do natychmiastowego ochrzczenia młodego patrycjusza. Późniejsze odejście od „przykazania miłości" wywołuje niemiły zgrzyt. Konsekwentniejszym był bohater, skąd inąd po amerykańsku glupkowatego filmu „Znak Krzyża" Cecil de Mille'a, nawrócony patrycjusz, który pośpiesza za swą ukochaną na arenę i ginie razem z nią.

Gdyby jeszcze ta „słabość" Winicjusza była jako „słabość" pojęta przez autora! Ale nie! U Sienkiewicza giną Paweł, Piotr, Petroniusz, natomiast Winicjusz przeżywa „zapomnienie dawnych trwóg i boleści" kołysząc na piersiach swą „ukochaną głowę" (II,257). Wewnętrzny dramat człowieka, który kontentuje się „mniejszym" chrześcijaństwem, nie pojawia się w ogóle w „Quo vadis". Radość chrześcijańska przeżywa w równym stopniu umierający Piotr czy Paweł — jak i wsłuchujący się w śpiew swych niewolników Winicjusz.

***

A przecież z całą swą wewnętrzną niekonsekwencją, z całym swym niezrozumieniem dla istoty chrześcijaństwa, „Quo vadis" jest wciąż jeszcze jego apologią. Możemy na to narzekać —ale nie możemy tego nie przyznać. Wbrew wszystkiemu „Quo vadis" nie przestaje przemawiać do czytelników także swoją postawą ideologiczną. Nowe wydania powieści, jakie ukazały się u nas (12-e wyd. Gebethnera i Wolffa, 13-e PIW) i za granicą (2-e wyd. słowackie w przekładzie Mikulasa Stano, Trnava 1948 r.) mówią o wciąż żywym wpływie tej książki. Sam spotkałem się z faktami nawróceń pod wpływem lektury „Quo vadis". Jak powiedziałem, mam takie uczucie, że zbliża się chwila znowu wielkiej dyskusji nad powieścią.

Mój artykuł nie żywi ambicji, aby ją zapoczątkować. Nie czuję się krytykiem, nie posiadam dostatecznej znajomości techniki krytycznej, nie znam tego, co o „Quo vadis" już było pisane. Artykuł powstał jako „produkt ubocznу" paromiesięcznej pracy w tym samym materiale historycznym, który bądź był przez Sienkiewicza użyty do jego powieści, bądź, właśnie uwzględniony nie został. Jest także zbiorem uwag, jakie mi się ostatnio nasunęły w związku z przeczytaniem na nowo powieści Sienkiewicza.

Ostatnia teza krytyki polskiej (Wyka Stawar) brzmi mniej więcej następująco: Sienkiewicz był znakomitym pisarzem; żadnym, złym, nawet szkodliwym ideologiem. W odniesieniu do „Quo vadis" tezę tę należałoby przy-

(Dokończenie na str. 10.)

Wanda Żuromska

NA CZYM ŚWIAT STOI?

Literatura młodzieżowa stanowiła i stanowi problem drażliwy. Zbyt wiele się wie i mówi o tym, jaką być powinna, zbyt mało ciągle jeszcze się robi, aby taką była.

Być może, że wymagania stawiane pod tym względem są rzeczywiście często ponad siły, tzn. że na ogół mało znajduje się odważnych, decydujących się je realizować. Napisać dobrą książkę dla dzieci czy młodzieży, to sprawa bardziej skomplikowana, niżby się zdawało. Obowiązuje tu zarówno bowiem znajomość psychiki młodego czytelnika, jego zainteresowań, sposobu rozumowania, całego świata przeżyć, co i nastawienie pedagogiczne. Realizowanie zaś tych postulatów w oderwaniu od wartości artystycznych dyskwalifikuje całkowicie najszlachetniejsze nawet zamierzenia. Trudność polega na przyjęciu zarówno „zamówienia społecznego", jakby określić można stawiane wyżej postulaty, co i na konieczności wykonania go przez posiadających prawdziwe kwalifikacje pisarskie i artystyczne.

Napisać dobrą powieść młodzieżową nie jest łatwo. Odpowiedzialność, jaka ciąży na pisarzu jest tu większa, niż gdziekolwiek indziej i dlatego właśnie każda dobra, naprawdę dobra książka dla dzieci, czy młodzieży powinna być zarówno pozycją pedagogiczną jak i literacką.

„Góra Czterech Wiatrów" Marii Kann*), która ukazała się ostatnio w wydaniu „Czytelnika" spełnia w dużym stopniu stawiane wyżej wymagania. Autorka umiała podać treść wartościową pedagogicznie w formie interesującej, żywej i przekonywującej. Umiała połączyć realizm z przygodą, aktualność problematyki społecznej z momentami prawdziwego, szczerego sentymentu i humoru.

Tło akcji stanowią Ziemie Odzyskane, osnowę — szybownictwo, główny wydźwięk — idea pracy zespołowej i braterstwa. Grupa młodzieży zabezpiecza poniemieckie szybowisko. Jest wśród nich były więzień Oświęcimia, jest para partyzantów, są harcerze i OMT-urowcy. Młodzież spotkała się najzupełniej przypadkowo, na ich różnych drogach i różnych celach wędrówki wyrósł cel wspólny.

Wśród wielu spraw i wielu konfliktów, poruszonych w książce, które wyrastają z podłoża etyczno - moralnego, społecznego, a nawet politycznego, najistotniejszą wydaje się jednak sprawa jedna:

Polskości autochtonów Ziem Odzyskanych, sprawa Ślązaków. „Ryszawy Hanek" i jego rodzina przeżywają wyraźny uraz w stosunku do tych młodych i nieznanych Polaków, którzy uważają ich za Niemców. Nieporozumienie tym bardziej paradoksalne, że jeden z chłopców, student polonistyki szuka wytrwale prawdziwych Ślązaków.

I właśnie wielką wartość powieści stanowi pozbawiona ckliwej idealizacji patetycznego naciągania prawda o polskości Ziem Odzyskanych. Wszystko tu jest autentyczne, począwszy od napisu na nagrobku starego cmentarza do języka i zwyczajów. Czasem ma się niemal złudzenie reportażu. Taką uczciwą i na serio robotę pisarza powinno się cenić specjalnie, jeżeli chodzi o literaturę młodzieżową. Stanowi to istotną wartość.

Podobną uczciwość wykazuje autorka, gdy charakteryzuje sytuację na Ziemiach Odzyskanych bezpośrednio po zajęciu ich przez Wojsko Polskie. Znajdował się tam wówczas najrozmaitszy, najbardziej różnorodny element przybyłych z obozów niemieckich i z głębi kraju. Są tacy, którzy osiedlają się tu, bo nie mają do kogo ani do czego wracać, są tacy, którzy z niemałym trudem i samozaparciem pragną wprowadzić ład i organizację, zabezpieczyć i ratować to, co istotnie ważne i wartościowe, ale są i zwyczajni szabrownicy, męty i szumowiny, są biurokraci, pełni niezdrowych ambicji, o ciasnych umysłach, przynoszący więcej szkody niż pożytku.

„Trzeci dzień mijał, odkąd wójt gminy Maczki z pełnym poczuciem wartości spełnionej pracy królował za przepierzeniem, zadając wszystkim to samo pytanie: „O co chodzi? — i odpowiadając wszystkim to samo: „proszę zaczekać tydzień, nie mam odpowiednich instrukcji"... stosowało się to w równym stopniu do tych, którzy starali się o przydział żywności, jak i po prostu noclegu na jedną, dwie noce. Oczywiście, jeżeli chodziło o zezwolenie na zabezpieczenie sprzętu poniemieckiego trudności te i formalności stawały się jeszcze bardziej skomplikowane.

Wydawałoby się, że są to sprawy, których raczej należałoby młodzieży oszczędzić, że realizm tego rodzaju jest pedagogicznie niebezpieczny. Ale autorka „Góry Czterech Wiatrów" uniknęła zarówno fałszu, do jakiego prowadziłby mogła zbędna idealizacja, jak i wyciągania negatywnych wniosków ze stanu faktycznego. Wydaje się, że realistyczna postawa pisarza jest bardziej wartościowa od idealistycznej w sensie pedagogicznym, o ile ów realizm nie prowadzi do załamania moralnego, do negacji i nihilizmu, ale pobudza dążność przezwyciężenia zła, wyzwala siły i wartości pozytywne.

Młodzi bohaterowie powieści walczą z trudnościami i przezwyciężają je. Jednakże nie szukajmy u nich heroizmu, ani jakiejkolwiek idealnej niezwykłości. Są to wszystko wprawdzie wartościowi, pełni zapału chłopcy, ale tacy, jakich tysiące spotykamy w życiu, tacy, jakimi niemal wszyscy chłopcy i dziewczęta w tym wieku być mogą.

Jedynie w Józku i w Krzysztofie jest coś, co stawia te dwie postacie na jakimś pograniczu bohaterstwa.

Takie bohaterstwo jednakże jest często udziałem niejednego szarego człowieka. Heroizm życia, heroizm w przezwyciężeniu tego, co przeszkadza człowiekowi być takim, jakim być powinien, co każe szukać mu istotnego i właściwego celu życia.

Józek — były więzień Oświęcimia stracił wszystko i wszystkich, mimo to jednak nie załamuje się wewnętrznie. Coprawda autorka jakby w nagrodę za tę jego siłę moralną, za wszystko, co przebolał i przecierpiał ofiaruje nadzieję odzyskania narzeczonej, czytelnik jednak czuje, że i bez tego Józek będzie w pełni wartościowym człowiekiem, że konflikt swój przełamał już wcześniej, wtedy gdy nadziei tej nie miał, wtedy, gdy zrozumiał, że w społeczności ludzkiej, że w zespole nikt nigdy nie jest samotny.

Natomiast bohaterstwo Krzysztofa wypływa z zupełnie innych przesłanek, z przesłanek fałszywych. Jest ono niepotrzebne, co więcej jest szkodliwe, bowiem źle pojęte i zrozumiane. Największy nawet wysiłek woli nie przezwycięży wady organicznej. Zresztą nie to jest tu nawet istotne, czy Krzysztof był chory, czy zdrowy, słabszy czy silniejszy fizycznie. Wydaje się, że reprezentuje on niejako ten typ młodzieży, która cierpi na kompleks niższości z powodu niewyżycia się w wielkiej przygodzie konspiracji. Czują się w ten sposób jakoś niżsi od innych, jakoś mniej wartościowi, nie pojmują, że prawdziwie ważne jest uświadomienie sobie, jak uczynić swe życie faktycznie wartościowym, że przygoda to tylko jego fragment, często wcale nie najważniejszy. Nie pojmują, że „każdy w życiu jest przecież pilotem, choć nie lata razem z lotnikami".

Jednakże analiza tego konfliktu zdaje się być za głęboka na powieść młodzieżową. Tym bardziej, że uświadomienie jego przyczyn możliwe jest na drodze dojrzałej introspekcji, albo przez obserwację wnikliwego i subtelnego pedagoga. Młody czytelnik „Góry Czterech Wiatrów" nie jest zdolny ani do jednego ani do drugiego. Może jedynie porównywać to, co sam przeżywa z analogicznymi przeżyciami Krzysztofa. Budzi to obawę zbyt pochopnego wyciągania wniosków przez nieprzygotowaną do obiektywizowania młodzież, co gorsza jeśli trafi na okres rozwojowego kryzysu psychicznego mo że zasugerować łatwo nie istniejące kompleksy.

Sprawa Krzysia to sprawa dla pedagogów, podawanie jej w tej formie młodzieży wydaje się niezbyt bezpieczne.

Zresztą cały ten problem nie ma właściwie ścisłego powiązania z treścią powieści. Przebiega jakoś luźno i na marginesie tego, co najistotniejsze. Wyczuwa się, że nawet autorce sprawia pewną trudność wmontowanie artystyczne tego zagadnienia, jakkolwiek ani przez moment nie zauważa się niczego więcej poza niepotrzebnym wprowadzeniem akcentów nieco melodramatycznych.

Interesujące są momenty konfliktów moralnych, jakie rodzi zetknięcie się młodzieży z rzeczywistością. Załoga „Góry Czterech Wiatrów" ma trudności w zaopatrzeniu się w żywność, przydziału bowiem jeszcze nie otrzymała. Stefan — drużynowy odmówił właśnie kupna kradzionej żywności, jeden z chłopców zarzucił mu, że postąpił nie tylko lekkomyślnie, ale i nieuczciwie w stosunku do kolegów.

„Nieuczciwie... nieuczciwie — rozmyślał Stefan, Olek myli się. Nic w tym nieuczciwego nie ma! Ale nie kupując kradzionej żywności on, Stefan, rzeczywiście skazał na głodówkę wszystkich mieszkańców szybowiska. Jakże wyzdrowieje Katarzynka na suchych kartoflach? Co robić? Czy powinien biec do bandytów i odwołać to, co powiedział. A może błagać ich o żywność? A może powinien kraść?!"

Rozwiązanie przychodzi niespodziewanie! Autorka wyzyskuje tu postać 10-letniego Tomka, który stanowi powiązanie artystycznej akcji. I oto właśnie, w momencie najbardziej trudnym i ciężkim dla Stefana, Tomek niespodziewanie zadaje pytanie: „Dlaczego się mówi, klął na czym świat stoi. Na czym takim ten świat stoi?"

To na pozór pozbawione sensu pytanie Tomka, którego zresztą specjalnością i wdziękiem jest takie pozornie filipowe wyskakiwanie z konopi, pozwala Stefanowi upewnić się w tym, że świat nie może stać na bezprawiu, że najtrudniejszych spraw nie wolno rozwiązywać przez „łamanie praw odwiecznych, które obowiązują nawet niepisane".

Czyżby to było upraszczanie sobie zadania ze strony pisarza? — Oczywiście proste, nieskomplikowane pytanie Tomka nie pogłębia przeżyć psychologicznych, ani problematyki moralnej. Jest tylko sprawą dyskusji, czy uważać to za wadę, czy zaletę. Wychowawczo rzecz biorąc, skłonnabym była ustosunkować się raczej do tego pozytywnie. Młodzieży nie należy wprowadzać w ślepie uliczki za daleko posuniętego psychologizowania, ani zbytniego pogłębienia konfliktów moralnych, nie jest jeszcze na to dostatecznie przygotowana, wydaje się to zbędne, a nawet niebezpieczne. Autorka dostatecznie zarysowuje konflikt, dostatecznie go analizuje rozwiązanie takie a nie inne zostało przez nią świadomie zamierzone artystycznie, rozładowuje ono atmosferę napięcia, wprowadza pożądane i konieczne odprężenie i co najważniejsze... zdaje się, że w tej formie utkwi skutecznie w pamięci młodocianych czytelników. Właśnie w takich momentach demaskuje się pisarz - pedagog.

I dlatego, kiedy znów w jakiejś chwili Tomek zawoła:

— Stee-fan!

— Czego znów chcesz?

— Czy Budrysów (OMT-urowcy) mogę też kochać, jak braci, jak wszystkich harcerzy? — I kiedy po odpowiedzi Stefana, że nie tylko może, ale powinien, przechodzi, jakby nigdy nic do zwykłych codziennych spraw, nie zastanawiamy się już, czy jest to spłycanie, czy pogłębianie problemu ale jesteśmy pełni uznania dla autorki, dla jej odczucia pedagogicznego i artystycznego umiaru.

W sumie „Góra Czterech Wiatrów" jest powieścią, która powinna się znaleźć w każdej bibliotece młodzieżowej i która stanie się zapewne niedługo jedną z najbardziej ulubionych lektur młodzieży zarówno męskiej jak i żeńskiej.

Wanda Żuromska

*) Maria Kann: Góra Czterech Wiatrów, wyd. „Czytelnik" W-wa 1948, str. 298 okł. proj. K. M. Sopoćko.

Co piszą inni...

DLA nikogo dzisiaj nie ulega najmniejszej wątpliwości jak zasadniczą rolę spełnia nauka w życiu nowoczesnego społeczeństwa. W historycznej ewolucji dokonało się bezpośrednie zbliżenie nauki z życiem. Myśl ludzka czerpie tematykę i natchnienie bezpośrednio z procesów życiowych, a wyniki dociekań umysłu znajdują natychmiast zastosowanie w życiu. Wzrosło niepomiernie i wzrasta stale społeczne znaczenie uczonego. „Nie od dzisiaj społeczna rola intelektualistów zwraca na siebie uwagę — pisano niedawno w „Myśli Współczesnej".—Nigdy jednak problem ten nie występował w tak ostrej postaci jak obecnie. Wiąże się to z faktem, że nauka i myśl naukowa nabrały takiej doniosłości, że od ich właściwego zastosowania zależą losy całej cywilizacji ludzkiej. „W naszych warunkach znaczenie nauki dla społecznego rozwoju potęguje się jeszcze bardziej w związku z odbudową i koniecznością jak najszybszego wyrównania dotychczasowych zaniedbań kulturalnych. Sprawa istnienia warunków dla najpełniejszej twórczości naukowej, oraz zagadnienie najracjonalniejszej organizacji nauki i szkolnictwa wyższego wysunęło się na jedno z najpierwszych miejsc. Obserwując w okresie 1945 — 1949 działalność naszych ośrodków naukowych, a więc w pierwszym rzędzie Szkół Wyższych, wszelkiego rodzaju instytutów i towarzystw naukowych, można bez przesady stwierdzić, że mamy już poza sobą okres, w którym doraźne czynności organizacyjne z natury rzeczy dominować musiały nad pracami ściśle naukowymi. Po czterech latach najbardziej gorączkowej odbudowy instytucji naukowych weszliśmy w fazę, w której zaznacza się przewaga twórczości stricte naukowej nad zagadnieniami organizacji. Te zaś wyszły niemal całkowicie z okresu podejmowania doraźnych czynności związanych z reaktywowaniem instytucji naukowych, wkraczając od szeregu miesięcy w fazę długofalowego koncepcjonowania i stopniowego realizowania wypracowanych planów.

WSZYSTKIM tym sprawom poświęciło ostatnio sporo miejsca „Odrodzenie" drukując dwa obszerne artykuły wicemin. Oświaty E. Krassowskiej. („Czterolecie rozwoju nauki polskiej" w nr 9 i „Perspektywy nauki polskiej" w nr 10). Artykuły te zawierały najistotniejsze fragmenty referatu wygłoszonego przez autorkę na plenarnym posiedzeniu Rady Głównej do Spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego 14 lutego br. Pierwszy z nich poświęcony był krytycznej analizie rozwoju powojennej nauki, w drugim zaś starała się autorka wyciągnąć z tej analizy wnioski i wskazania na bliższą i dalszą przyszłość.

Krytyczną ocenę czterolecia rozwoju nauki polskiej przeprowadza w.-min. Krassowska pod kątem widzenia wpływu rozwoju sytuacji ogólnopolitycznej na odcinek nauki. W konkluzji stwierdza, iż „rozwój naszego wyższego szkolnictwa zarówno pod względem treści programowych, jak też struktury organizacyjnej, oraz rozwój naszej nauki odznacza się poważnym opóźnieniem w stosunku do innych dziedzin życia. W szczegółowszej analizie poszczególnych dyscyplin naukowych widzi autorka największe zaniedbania w zakresie nauk humanistycznych i społecznych.

Formułuje też siedem grzechów głównych dotychczasowej polityki na odcinku nauki: Są to: 1) niedostatecznie konsekwentna polityka personalna 2) zbyt mały wgląd Rady Głównej w wewnętrzne prace wyższych uczelni 3) brak koncepcji organizacji nauki, 4) zbyt liberalistyczne traktowanie ścierania się odmiennych światopoglądów w świecie naukowym prowadzącym do eklektyzmu, 5) niezapewnienie marksistowskiej dialektyce należytego miejsca w pracy wyższych uczelni, 6) uleganie zasadzie „świętości nie szargać" 7) niedostateczne kształtowanie świadomości ideologicznej pracowników nauki.

Droga realizacji nowych zadań oprzeć się winna, zdaniem w.-min. Krassowskiej, na zespołowej pracy naukowo-badawczej, na stworzeniu centralnych instytutów dla poszczególnych dyscyplin naukowych, oraz na powołaniu najwyższego organu naukowego w postaci Polskiej Akademii Nauk, której zadaniem będzie koordynacja twórczości naukowej. Obok tego wysuwa autorka postulat reorganizacji istniejących towarzystw naukowych, należytego rozwiązania sprawy kształcenia młodego narybku naukowego i planowej organizacji wydawnictw naukowych. Warto nadmienić, że ta ostatnia sprawa jakkolwiek należy do jednych z najpilniejszych od długiego już czasu pozostaje mimo wszystko stale jedynie w sferze ciągle ponawianych postulatów.

SZCZEGÓŁOWE omówienie przeprowadzonej przez w.-min. Krassowską krytyki czteroletniego rozwoju powojennej nauki, a w szczególności sformułowanych przez nią postulatów daleko przekroczyćby musiało ramy naszych przeglądów prasy. Dlatego też ograniczymy się do jednego zagadnienia, a mianowicie do sprawy ścierania się światopoglądów i rzekomo wynikającego stąd elektyzmu.

W.-min. Krassowska z jednej strony (i słusznie) stwierdza „brak w polskim życiu naukowym wielkich dyskusji, które by sięgały do podstaw światopoglądowych nauki", z drugiej zaś strony wysuwa zarzut nadmiernego liberalizmu w traktowaniu odmiennych światopoglądów w świecie naukowym.

Nie bronimy okopów św. Trójcy. Nie wysuwamy fikcyjnej zasady apolityczności nauki, czy apolityczności kultury. Rozwój nauki leży katolikom co najmniej w równej mierze na sercu, jak marksistom. Ale uważamy, że odmienności światopoglądowej postawy uczonych są elementem dynamizującym postęp nauki, a nie hamującym go. Nie widzimy też realnego odbicia dla podziału uczonych na postępowych i zacofanych w podziale uzależnionym od ich światopoglądowej postawy. Sądzimy, że ścieranie się nowych twórczych koncepcji naukowych z koncepcjami przestarzałymi może się odbywać jedynie drogą jak najszerzej i jak najpełniej pojętej naukowej kontrargumentacji.

Jeden z wybitnych polskich uczonych, ceniony zarówno przez katolików, jak i przez marksistów, pisał nieco wcześniej w „Myśli Współczesnej", omawiając rolę naukowców w nowoczesnym społeczeństwie — „Dzięki intelektualistom konflikty społeczne przenoszą się w sferę intelektualną, a intelektualiści stają się doniosłym czynnikiem rozwiązywania tych konfliktów. Przenoszenie konfliktu z płaszczyzny irracjonalnej na płaszczyznę myślową jest ważną drogą łagodzenia konfliktów".

Wydaje się, że te zadania nie straciły nic na aktualności. I że warto je dzisiaj przy tej okazji przypomnieć.

tm.

TYDZIEŃ KULTURALNY

ZARZĄDZENIEM ministra kultury, powołana została do życia nowa placówka, która ode gra doniosłą rolę w rozwoju życia artystycznego na odcinku plastyki. Jest nią Centralne Biuro Wystaw w Warszawie.

Do zakresu działania Centralnego Biura Wystaw należy organizowanie konkursów, wystaw stałych i objazdowych, odczytów etc.

Nadzór nad Biurem sprawuje minister kultury i sztuki.

Projektowane jest utworzenie 6 oddziałów Biura, przede wszystkim w Katowicach i Łodzi, jako ośrodkach posiadających największe skupiska robotnicze.

Do czasu uzyskania własnej siedziby, której budowa rozpoczęta zostanie w bieżącym roku na terenie dawnego Szpitala Oftalmicznego przy ul. Smolnej, Biuro mieścić się będzie przy Zarządzie Głównym Związku Polskich Artystów Plastyków.

Budynek Centralnego Biura Wystaw prócz pomieszczeń biurowych, sal odczytowych etc. posiadać będzie przede wszystkim odpowiednio urządzone własne sale wystawowe.

Dyrektorem nowej placówki mianowany został Armand Wetulani.

MIĘDZYNARODOWY KONKURS MUZYCZNY W PARYŻU

W dniach od 20 do 27 czerwca br. odbędzie się w Paryżu Międzynarodowy Konkurs młodych pianistów i skrzypków, w wieku od 16 do 32 lat.

Inicjatorami tego konkursu, który w roku bieżącym odbywa się po raz trzeci, są słynni wirtuozi francuscy — Margueritte Long i Jacques Thibaud.

Margueritte Long, znakomita pianistka i niemniej znakomity pedagog jest wielką przyjaciółką Polski oraz jedną z najświetniejszych wykonawczyń dzieł Fr. Chopina.

Obecnie bierze nader czynny udział w pracach organizacyjnych Roku Chopinowskiego we Francji, stojąc na czele Komitetu Organizacyjnego.

Podczas IV Międzynarodowego Konkursu im. Fr. Chopina (Warszawa IX — X br.) — podobnie, jak i Konkursie poprzednim w 1937 r. — weźmie udział w jury Konkursu.

Drugi z inicjatorów Konkursu, znakomity skrzypek Jacques Thibaud jest członkiem Komitetu Honorowego Roku Chopinowskiego we Francji.

Konkrus Margueritte Long i Jacques Thibaud, obok Międzynarodowego Konkursu im. Fr. Chopina, zapowiada się jako jedno z najciekawszych międzynarodowych wydarzeń artystycznych 1949 r.

KONKURS LITERACKI

ZARZĄD Główny Ligi Morskiej ogłasza konkurs na nowelę marynistyczną i tekst piosenki marynistycznej.

Treścią ich ma być życie, praca i rozrywka rybaków, marynarzy lub ludzi pracujących na Wybrzeżu, na tle rozbudowy i rozwoju portu.

Objętość noweli winna wahać się w granicach od 4.500 — 7.000 słów, natomiast objętość piosenki — w granicach 6 — 10 czterowierszowych lub sześciowierszowych zwrotek.

Prace konkursowe w 2 egzemplarzach składać należy do dnia 31 maja 1949 r. (włącznie) w Zarządzie Głównym Ligi Morskiej (Wydział Propagandy), Warszawa, ul. Widok 10.

Ustala się następujące nagrody: Za nowelę marynistyczną — I nagroda — zł 75.000, II nagroda — zł 50.000, III nagroda — zł 35.000.

Za tekst piosenki marynistycznej — I nagroda — zł 50.000, II nagroda — zł 35.000, III nagroda — zł 20.000.

Jury konkursowe składać się będzie z przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Żeglugi, Zw. Literatów Polskich i Zarządu Głównego Ligi Morskiej.

IMPREZY KULTURALNE NA TARGACH W POZNANIU

W związku z pracami przygotowawczymi do tegorocznych Targów Międzynarodowych w Poznaniu, specjalny komitet przystąpił do prac nad ustaleniem programu imprez artystycznych. Projektuje się szereg koncertów symfonicznych, muzyki ludowej oraz recital z cyklu „Żywe wydanie dzieł Chopina". Opera Poznańska wystąpi z repertuarem, opartym w większej części na utworach słowiańskich. M. in. grana będzie „Halka", „Straszny Dwór", „Flis" Moniuszki, „Goplana" — Żeleńskiego, „Pieśń o ziemi naszej" — Palestra, „Eugeniusz Onegin" — Czajkowskiego, „Tańce połowieckie" — Borodina, „Pocałunek" — Smetany i „Od bajki do bajki" — Nedbala.

Na afiszu Państwowego Teatru Polskiego znajdą się „Przyjaciele" — Uspieńskiego oraz „Mąż i żona" — Fredry.

W Teatrze Nowym grany będzie „Pan Jowialski" z gościnnym występem Ludwika Solskiego oraz „Kandida". — Shawa.

W Komedii Muzycznej przewidują się „Porwanie Sabinek" z Węgrzynem.

Teatr Lalki i Aktora wystąpi ze sztukami młodzieżowymi: „Śnieżka", „Dzieci pana majstra" i „Kukiełki". Na przedstawieniach dla dorosłych będą sztuki „Piast", „Nadzieja" i „Maszenka".

W Teatrze Kameralnym przygotowana jest sztuka Niewiarowicza „Ich dwóch".

W ramach czwartkowych literackich odbędą się wieczory autorskie Fiedlera, Broniewskiego, Morcinka i in.

ZABEZPIECZENIE CENNYCH MATERIAŁÓW KULTURALNYCH

W Zakopanem zmarła w ubiegłym tygodniu Maria Kondratowiczowa, zasłużona działaczka kulturalna. W posiadaniu jej znajdowały się cenne zbiory pism, korespondencji i dokumentów, dotyczących działalności Stanisława Witkiewicza, krytyka malarstwa i literatury, zasłużonego działacza kulturalnego na terenie Podhala. Wśród zbiorów znajdują się również materiały z okresu bujnego życia artystycznego Zakopanego na przełomie wieków XIX i XX. Poczynione zostały odpowiednie kroki w celu zabezpieczenia tych wartościowych zbiorów i przekazania ich do Muzeum Tatrzańskiego.

„TRZY SIOSTRY" i „WIŚNIOWY SAD" CZECHOWA W WARSZAWIE

NA początku maja br. przewidziana jest wymiana przedstawień między Państwowym Teatrem Polskim w Warszawie a Teatrem im. J. Słowackiego w Krakowie.

Teatr krakowski przybędzie do Warszawy ze sztuką Czechowa „Trzy siostry", zespół Państw. Teatru Polskiego w tym samym czasie grać będzie w Krakowie „Wrogów" Gorkiego.

Ponadto odwiedzić ma Warszawę w początkach maja zespół Państw. Teatru Wybrzeża pod dyr. Iwo Galla, dając przedstawienia „Wiśniowego sadu" Czechowa.

WYSTAWA AKWARELISTÓW WĘGIERSKICH

W dniu 15 bm. nastąpiło w Muzeum Przemysłu Artystycznego w Krakowie otwarcie wystawy akwarelistów węgierskich Barthy i Osorby, zorganizowanej przez Tow. Przyjaźni Polsko-Węgierskiej Otwarcia wystawy dokonał prezydent miasta H. Dobrowolski.

FILM

„NIKT NIC NIE WIE". Wykonawcy: J. Marvan, F. Filipovsky, E. Linkers, J. Ditetova, S. Neuman. Muzyka: J. Stelibsky. Produkcja: Ceskoslovencka Filmowa Spolecnost.

Józef Mach — scenarzysta i reżyser — dał próbę humorystycznego ujęcia okupacji. Wyposażył postać Fritza Heinecke i jego otoczenie w cały zasób bufonady, megalomanii i innych tego rodzaju cech obficie obserwowanych u hitlerowców. Postacie pozytywnych bohaterów są jednak w ten sposób ujęte, że ich zachowanie w rozmaitych perypetiach nie neguje ich osobistych wartości, ani wartości konspiracji. Ich śmiesznostki są środkiem, z pomocą którego realizator uzyskuje dopełnienie komizmu filmu jako całości.

Komizm ten jest osiągany prostymi środkami. Nagromadzenie paradoksalnych sytuacji, starych, znanych tricków i obfitość nowych, połączone zostały bardzo sprawnym montażem. Szybka akcja nie pozwala na zastanowienie się i uchwycenie bezsensu niespodziewanych sytuacji i gęsto sypiących się pomysłów. Mach nie waha się dla wywołania śmiechu używać nawet tak nieskomplikowanego, typowo filmowego środka jak przyśpieszone zdjęcia, sytuacje opracowuje dokładnie, wykańczając drobne szczegóły i osiągając przez to pełnię efektu. Nie zawodzi go inwencja, tempo akcji nie słabnie do końca, przy czym niektóre sceny można zaliczyć do perełek humoru — chociażby moment raportu Heinecke przed lustrem, literacko i aktorsko (w interpretacji E. Linkersa wybijającego się na pierwszy plan pośród wykonawców) przeprowadzony świetnie.

„Nikt nic nie wie" posiada duże walory propagandowe. W lekkiej atrakcyjnej formie pokazano widzowi historię, która wykazuje istnienie konspiracji (nie unikając oświetlenia jej grozy i niebezpieczeństw), powszechną solidarność i aktywność wobec okupanta, ośmieszono Niemców nie ośmieszając konspiratorów.

Film ten nie posiada jednak cech oryginalnych, wykazuje duże wpływy komedii amerykańskiej (Bracia Marx) — ale Mach umiał nadać ogranym gagom świeżość, jego pomysły uderzają prostotą a szybki montaż nie dopuszcza do rozładowania napięcia.

Program uzupełnia interesująca krótkometrażówka czeska „Przeklęty dźwięk". Wielka szkoda, że do programów kinowych nie załącza się wkładek podających informacje dotyczące wyświetlanych filmów krótkometrażowych (pokazanie kilkunastu nazwisk w przeciągu paru minut nie wystarcza do ich zapamiętania). Drobiazg — ale sprawia wrażenie zaniedbania, jest drobnym dowodem lekceważenia wyświetlanego obrazu. Tymczasem filmy dokumentarne w żadnym wypadku nie zasługują na traktowanie ich jak dodatku, środka dopełnienia seansu (obejmowanego niesłuszną nazwą „NADprogramu"). Są one na naszych ekranach niestety tak rzadkim zjawiskiem, że istotnie chwilami sprawia to wrażenie jak gdyby były traktowane jako zło konieczne, których jeśli tylko można (film długometrażowy jest dostatecznie długi) chętnie się unika. Można by tu powtórzyć za Margalem pytanie, dlaczego widzowi polskiemu nie są one pokazywane (zwłaszcza polskie, które zajmują czołowe miejsce produkcji światowej), dlaczego nie są mu przekazywane wartości, które niesie film dokumentarny.

***

Zaduch i gorąco panujące na sali nasunęło mi na myśl inne zagadnienie. Otóż trzeba stwierdzić, że o ile nawet „Atlantic" został wreszcie wyszorowany i obielony, a we wszystkich kinach warszawskich osiągnięto w większości wypadków ład i porządek przy wejściu (chciałbym doczekać się momentu, w którym zjawisko to byłoby tak naturalne, że nie zwracałoby uwagi), to o tyle zagadnienie bezpieczeństwa na wypadek pożaru nie jest, sądzę, w dostateczny sposób rozwiązane. Pomijam tu kwestię ilości gaśni itp. szczegółów technicznych — zastanawia mnie problem rozładowania sali. Nawet normalne wyjście np. z balkonu „Atlanticu" jest skomplikowane, cóż by się działo w czasie paniki? Wejścia zwykłe nie mogą być brane pod uwagę, gdyż oczekujący na następny seans tłum przekreśla możliwość szybkiego wyjścia Sprawne opróżnienie sali mogłoby więc nastąpić jedynie przez wyjścia dodatkowe. Wydaje mi się, że tam gdzie ściana sali jest ścianą szczytową można by to w dość tani i prosty sposób osiągnąć przez wybicie w niej drzwi i ew. dodanie zewnętrznych schodów. Decyzja (i wykonanie!) powinno ze względu na wagę zagadnienia nastąpić jak najszybciej. Jeśli się mylę w ocenie sytuacji rad będę jeżeli tych parę uwag skłoni Dyrekcję Kin do kilku słów wyjaśnienia. Sądzę jednak, że w każdym razie nie byłoby trudnym problemem, a byłoby pożądane zaopatrzenie kin w mikrofon i głośnik (ew. wykorzystanie ekranowego), który pozwałałby na szybkie i bezpośrednie kierowanie tłumem w sytuacji tego wymagającej, przez który można by nadać aktualną informację, wywołać z sali lekarza itp.

Leszczyńscy

ROK CHOPINOWSKI · 1949 ·

23 MARCA w środę w ramach cyklu „Żywe wydanie dzieł Fryderyka Chopina, Bolesław Woytowicz wykona wszystkie Preludia i 12 etiud z op. 25.

25 MARCA w piątek odbędzie się jedenasta z rzędu audycja z tego cyklu. W jej ramach wykonane zostaną utwory przeznaczone na fortepian z towarzyszeniem orkiestry. Usłyszymy więc Wielką Fantazję na tematy polskie op. 13, Andante spranato i Polonez op. 22 oraz koncert fortepianowy e-moll. Wykonawcami audycji będą: Orkiestra Filharmonii Stołecznej pod batutą Zygmunta Latoszewskiego oraz, jako soliści, Halina Czerny-Stefańska, Barbara Hesse-Bukowska i Zbigniew Szymonowicz.

27 MARCA w niedzielę, w 12-tej audycji z cyklu „Żywe wydanie dzieł Fr. Chopina", Maria Wiłkomirska wykona następujące utwory: 2 Nokturny (op. 9 nr 3 h-dur i op. 48 nr 2 fis-moll), 3 Etiudy (bez opusu), 7 Mazurków (wszystkie z op. 30 i op. 63), Allegro de concert op. 46, 3 Walce (op. 64 nr 3 as-dur, op. 70 nr 1 ges-dur i e-moll (pośmiertny) oraz Scherzo op. 20 h-moll.

NIECO HISTORII

26 MARCA 1932 w Warszawie zakończony został 2-gi Międzynarodowy Konkurs im. Fryderyka Chopina. Do konkursu tego zgłosiło się 200 kandydatów, spośród których zakwalifikowano 93 pianistów. Ostatecznie udział wzięło 70 pianistów reprezentujących 19 państw.

Laureatami konkursu zostali:

I nagroda — Aleksander Uniński (Francja).

II nagroda — Imre Ungar (Węgry).

III nagroda — Bolesław Kon (Polska).

IV nagroda — Abram Lufer (ZSRR).

Przyjemne widowisko

DŁUGA i uciążliwa wyprawa na Szwedzką nie nastraja optymistycznie. Lektura uwag dołączonych do programu „Skalmierzanek" pogłębia pesymizm.

Te żółcią zaprawione uwagi milkną jednak w momencie, gdy kurtyna idzie w górę w momencie rozpoczęcia spektaklu. Jakich tu tricków trzeba było użyć, by zmieścić to wszystko i te interesujące, a wiele miejsca zajmujące dekoracje, no i dość liczną obsadę na scenie tak małej. Rodzina Strachockich musi dobrze znać jazdę tramwajami stołecznymi i problem zagęszczania.

Andrzej Strachocki projektodawca dekoracji umieścił na scenie wszystko, co było potrzebne, a przecież tak sprytnie, że Janusz Strachocki mógł na pozostałą część przestrzeni wprowadzić wiele osób, które nie tylko chodzą, ale biegają, ba... tańczą. I ani przez chwilę nie odczuwa się wrażenia jakiegoś ścisku. Zdaje się, że i aktorzy mają poczucie pełnej swobody ruchów. Dość dużo miejsca poświęciłem temu pozornie mało ważnemu szczegółowi — ale to mogło zadecydować o wartości spektaklu. Jakże inne wrażenie wynosi się dość często z niektórych scen stołecznych.

O treści „Skalmierzanek" mówić chyba nie warto. Nie dlatego, by autor tych słów zakładał, że każdy z czytelników zna ją na pamięć. Młodzież na przykład na pewno nie zetknęła się jeszcze z tym wodewilem, ot, po prostu treść jest mało ważna i nie o nią tu idzie. Ważniejsza jest tutaj barwa, majorowa tonacja całości i ten nieskomplikowany a przecież chwytający za serce nastrój.

Jeśli tymi elementami zmierzy się spektakl Ludowego Teatru Muzycznego, to trzeba w rezultacie wystawić notę prawie wzorową. Nagrodą dla ukrytego w cieniu reżysera był szczery, czasem zbyt głośny śmiech widowni.

Miarą sukcesu reżysera jest także i to, że raz z widzami bawili się również wykonawcy. I to ogólne rozbawienie sprawiło nastrój takiej swobody, że zanikała jakoś przegroda między sceną a widownią. Nie wiem, czy ludziom teatru można powiedzieć większy komplement.

Niespodzianką równie przyjemną był duży sukces, jaki w tym spektaklu odniósł młody aktor, Joachim Lamża w roli Pieprzyka, zduna z Proszowic. Jest to o ile się nie mylę ongiś pupil Wilama Horzycy. Dziś trafił na scenę stołeczną i trzeba to przyznać, zdobył sobie pierwszym występem uznanie widowni. Z długiej listy wykonawców wyróżnić trzeba jeszcze Jana Mrozińskiego (ekonom), Marię Majdalińską (Marcinowa) i Krystynę Karkowską (Dosia). Wyliczenie tych nazwisk wcale nie umniejsza wysiłku wszystkich pozostałych wykonawców. Ludowy Teatr Muzyczny wystartował tym razem dobrze — jeśli za jakiś czas nie wrócimy do „Nitouche" — a pójdziemy tą nową drogą — możemy zajść daleko.

j. a.

Wanda Morawianka

WIOSNA

Na tę pierwszą przechadzkę, po długiej, nudnej rekonwalescencji — profesor wymknął się sam. Złożyło się doprawdy doskonale.

Donośny szczęk naczyń w kuchni dowodził, że z tej strony nic mu nie grozi. Gospodyni na dłuższy czas była umiejscowiona.

A Krystyna? Na wieszakach brak jej płaszcza — prawda 15 maja. Mówiła przecież rano, że idzie na imieniny. Profesor przesunął się ostrożnie przez pachnący lakierem lej korytarza i starannie zamknął drzwi. Dyskretne mlaśnięcie furtki obudziło w jakimś zakamarku pamięci, a tak niespokojnie radosne słowo: Wagary. Profesor uśmiechnął się filuternie. Był na swobodzie.

Od razu na głowę posiwiałą, na lekko przygarbione plecy zwaliła się bez uprzedzenia wiosna. Zakręciło mu się w głowie. Rtęć asfaltu lśni w słońcu aż trzeba mrużyć oczy. Powietrze nagrzane wiosną opływa twarz natrętnie. Bzy. Zadarł nagle głowę do góry: Chyba niebo tak pachnie. Niespodziewany błękit nalał się w zmęczone oczy aż do łez. Kiedy patrzył później wprost przed siebie, przysiągłby, że ma najbardziej niebieskie źrenice pod słońcem.

Chciał się przejrzeć w szybie mijanej wystawy, ale szkło było zbyt nasycone zielenią rosnącego obok drzewa.

Szedł więc dalej nieomal tanecznym krokiem a zwykły mu sarkazm zgubił się w radosnej beztrosce niemyślenia. Świadomość machinalnie rejestrowała: drzewa zielone, ciepło, okna otwarte.

Im więcej zbliżał się do śródmieścia, tym ruchliwsze stawało się powietrze. Niepostrzeżenie rosła melodia — dziwnie upajająca (pomyślał). Odgłosy dzwonków tramwajowych, gwar ludzi w skupisku, chrzęst opon po asfalcie i coś jeszcze... coś...

Czuł się już trochę zmęczony, gdy odważnie i dziarsko wsączył swoją osobę w przepływający tłum.

Zmęczenie? Głupstwo. Rytm. Rytm. Oto kobiety zrytmizowane płynnym chodem. Na smukłych nogach przejrzysta elastyczność pończoch. Rozkwiecone suknie. Kapelusze-cienie, kapelusze-słońca. Uśmiechnięte kobiece usta. Wszystkość wrażeń waliła wprost w niego, dopadła do oczu, krtani, ocierała się brutalnie z tyłu. Trudno znaleźć wytyczną, więc powędrował tropem stóp odzianych w wiosenne pantofelki — szedł tak wytrwale, aż spostrzegł, że to już nie te, może jakieś dziesiąte.

Z łobuzerskim uśmiechem w głębi duszy skłonił się szarmancko młodej damie. Spod ronda srebrzystego kapleusza rzuciła wpół zdumione, wpół spłoszone spojrzenie. Od tego spojrzenia świat pojaśniał jeszcze, a profesor uczuł bolesny ucisk w sercu.

„Niedomoga serca w tym wieku nie da się całkowicie uleczyć" — przyciszony głos doktora wtedy przyprawił go o irytację, teraz wywołał ironiczny uśmiech: W tym wieku. Bałwan. Jak on skończy 62 lata, to na pewno nie będzie uważał, że jest „w tym wieku". Zresztą — machnął wybaczająco ręką. Wtedy owinął go całego zapach fiołkowych perfum. Przeszedł jeszcze prowadzony na aksamitnej smyczy tej woni młodej i odurzającej. I znów się zgubił. Zabiegły mu drogę kolorowe afisze byle jak zdobiące mury. Nie chciał ich czytać. Lepiej było przeczuwać buńczuczną, jędrną, zdrową ich treść. Tej treści dał się kołysać bezwolnie.

Wyszła mu na przeciw jakaś twarz znajoma. Niechętnie rozstawał się ze swoją, dziś zdobytą radością.

Cóż — uczennica była tak przystojna. Można jej darować, że się osobiście zna. Oczywiście radość spotkania. Oczywiście, jak zdrowie. Oczywiście — tak wszyscy współczuli. Ale profesor dzielnie odparł atak. Dziś mówimy o wiośnie — Nonsensy — bzdury — błękitne, zielone, piwne. Jak pani oczy. Spłoszyła się. Trochę to było niezgrabnie. Trzeba chytrze ją unieszkodliwić. Co pani czytała ostatnio?

I znowu cały wachlarz wrażeń rytmu, melodii, zapachów i nawet uroku dodaje ten cierpliwy, pokorny niemal szelest słów toczących się obok. Gdy zahamował się nagle — profesor sprowokował go bezwstydnie następnym pytaniem. Szedł w aureoli rytmicznych zdań, jak podcinany warkotem bębna — wtedy jeszcze w drużynach sokolskich.

I jakby w odpowiedzi na krótki błysk wspomnienia z przecznicy wymaszerowała kolumna młodych chłopców. Wojsko jakieś. Odpowiedź nadbiegła płochliwie i pluskiewkami słów przypinała profesora do rzeczywistości. „Służba Polsce". — Aha. Więc to. No tak, tak — rzeczywiście! W nagłym zestrzeleniu myśli — dostrzegał jak bardzo odbiegł od tego, co dla innych było chlebem powszednim.

A wie pani — tak choroba to ma nawet swoje dobre strony. Tyle czasu wydaje się człowiekowi, że jest ośrodkiem świata. Centrum. Bombą atomową (był dumny z tej aktualności porównania). I wtedy wziął ją pod rękę — ląduję sobie na przykład na księżycu. A tu proszę pani — aż się zatoczył od nagłego objawienia — wszystko jest inne. Uszczypnął ją w łokieć. Inne — rozumie pani? Poważnie otwarte oczy patrzyły na niego niepewnie. Nie — proszę nie zaprzeczać. — W tym jest cały urok. W pewnej chwili włączamy się w rytm — i reszta idzie już gładko.

No, zresztą nie każdy ma szczęście, żeby wylądować w piękny dzień wiosenny — zaśmiał się .A równocześnie usiłował sobie przypomnieć, jak ta mała ma na imię.

Przecież trzeba się włączyć — pomyślał z humorem.

Rosła w nim przyjemna pewność, że wszystko już jest w porządku.

Wie pani, panno Ireno — chodźmy do cukierni.

Nie — uspokoił sam siebie — nie jestem przecież zmęczony.

Pełnym galanterii ruchem otworzył przed nią drzwi. I tu raptem, jakby przez kontrast z barwnym krajobrazem beztroski — obskoczyły go zjadliwe własne szyderstwa .

Gdzie się pchasz stary dziadu?

Och — nie poddał się pesymizmowi. Ze złośliwą satysfakcją pochylił się nad parującą szaleństwem filiżanką.

He, he! doktorku. Prawdziwa czarna kawa! W tym wieku! Nonszalancko założył nogę na nogę i konstatował, że wszystko jest w porządku.

Tak — proszę pani — bez wątpienia życie układa się wedle jakichś stałych, ale poddanych ewolucji praw.

Naprzykład — mój dziad — jak po chorobie chciał wypróbować — czy już jest zdrów zupełnie — brał dubeltówkę, szedł za stodołę i walił — proszę pani do — wron. I jak zestrzelił jakąś, to już dobrze.

A ja, trząsł się cały ze śmiechu, a ja zestrzeliłem dziś dwa ptaki. Sikorkę — śmiał się w duchu na całe gardło? ale powiedział: gołębia i — kruka. Pokazywał brodą na filiżankę. Treść niby ta sama proszę pani — pochylił się ku niej tajemniczo — ale forma. — Forma jest o wiele bardziej frapująca. W wielkim popłochu uczuć i myśli wtórowała mu śmiechem nie śmiało.

Profesor był wspaniałomyślny — Powiem jeszcze pani, że ta ewolucja — znakomicie odmładza człowieka.

No - chyba dosyć. Niech sobie ta mała przetrawia w skupieniu mądre, profesorskie słowa.

A tu tęcza. — Wiosenne suknie układają się w kolorystyczną kompozycję precyzyjną i wyrafinowaną. Ludzie paplają głośno — niemal bezwstydnie. Nic w nich nie ma z wymuszonej powagi zimy. Rozrzuceni na krzesłach i kanapkach wodzą oczyma chaotycznie — tu, tam. Są zajęci sobą nawzajem. Pełni entuzjazmu dla bliźnich. Ta ich radość przepływa mocnym nurtem przez profesorski nastrój — łączy się w nim, zatraca w jasne poczucie wspólności.

Czy to jest egzystencjalizm — myśli profesor marginesem świadomości. „A jeżeli tak" — jakieś cudze myśli, cudze słowa, cudze uczucia stają się bliskie, własne. Nie trzeba nic chcieć, nie potrzeba nic móc — Wystarczy sobie być, zwyczajnie — po prostu — włączonym w rytmiczny puls życia.

Kiedyś tam Irena przeprosiła, odeszła (przepraszam, ale — ach — cóż znowu! bardzo pani dziękuję — Dziękuję, dziękuję).

A tu tłum faluje barwami, szumem, samym istnieniem.

W leniwej wędrówce zadowolone spojrzenie wpełzło na lustro. I nagle — co to?

Z szklanej tafli wynurza się jakaś maska potworna, straszna. Blada, ziemista twarz; wór ki zwiotczałej skóry pod bezrzęsymi oczyma, niechlujna siwa broda. Kto to?

Ależ tak, to on. Zwycięski, „włączony" profesor! Targnął nim śmiech — jak skurcz wymiotów.

Chyłkiem? złodziejsko uciekał od roześmianej sali.

Rozpełzły się na poduszkach taksówki myśli bezwolne. Na krótko.

Małe, okrągłe lusterko wisiało nad szoferem. Całą rozpaczą patrzeć trzeba w tę twarz, która rytmicznie kołysze się w takt wstrząsów samochodu. Każdą zmarszczkę trzeba sprawdzić, obejrzeć, nazwać, każdą plamę ochrzcić właściwym imieniem, każdy włos siwy oddzielić cierpliwie i rzucić w bezdenny worek rozrachunku. Rodzi się z tego świadomość: jedna, nieodparta — nieubłagana.

Mignie na chwilę zieloność — jak wyrzut jak szyderstwo, jak naga kpina.

Niczym, niczym nie można się obronić.

Samochód stanął. Szofer z zawodową zręcznością wyskoczył i uprzejmie otworzył drzwiczki. A że był młody — nie omieszkał rzucić wesoło: Piękną w tym roku mamy wiosnę!

W odpowiedzi usłyszał krótkie i zgryźliwe: Idiota!

Ale zanim się zdążył obrazić, — stary pan zarzucił mu ręce na szyję i rozpłakał się nędznym ślimaczym szlochem: Stary idiota — seplenił — bom ba atomowa, idiota księżyc. Ale wy nas nie wyłączycie. Przecież także, ja także — jeszcze chcę mieć w życiu — chociaż jedną ustrzeloną wronę.

Wanda Morawianka

MAREK ANTONI WASILEWSKI

Studnia w Siniscola

Studnia, którą opiszę nie będzie zwyczajna,
Nie tylko dla tego, że stoi samotnie,
Wodotrysk, studni posąg, to oślizgły kajman,
Nad nim naga Venus i kosmaty Wodnik.
Lśniący strumień wody trójkę tę jednoczy
Obmywając stopy boskiej Afrodyty,
Wodnik stoi z boku, zapatrzył w nią oczy,
Oścień spadł mu w wodę. nie wie, bo wzrok syci.
Wokół krzewy gęste, cieniste bukszpany
Przystrzygane w walce wręcz geometryczne,
Nad tym wszystkim niebo, błękitny atrament,
Który można chmurą jak bibułą wytrzeć.
Lecz wróćmy do studni zostawionej w cieniu,
Gdzie rybki błyskają jak skórki pomarańcz,
Pewien obcy człowiek z akwarium je przeniósł
I tutaj jak kompot z żółtych renklod nalał.
Gdy głowę nachylić nad zbiornikiem studni
Uciekają ku dnu złocistą plejadą
Pozostaje tylko obraz twarzy złudny
Na zmarszczonej wodzie. Ryby płyną na dół.
Dno zbiornika obrasta kłosowy wywłócznik
Naniesiony zapewne przez ptaki z torfowisk,
Lecz w wodzie coś błyszczy — jest to ostrze włóczni,
Którą Wodnik upuścił, miast nią ryby łowić.
Studnię okalają różowe marmury
Rzeźbione sprawną dłonią jakiegoś artysty,
Są to wielkie kwiaty, wielkie kwiaty w których
Marmurowa żaba wśród kielicha błyszczy.
Upodobanie miał rzeźbiarz do płazów,
Żaby są jak żywe, wyłupiastookie,
Obrośnięte są mchami, co w wizji obrazu
Stwarza świetny pozór, że żaby są mokre.
Dwie do studni prowadzą wypiaszczone ścieżki,
Jedna prosta z pałacu, druga kręta, z lasu,
Lecz w pałacu od dawna nikt by nie zamieszkał,
Gdyż wiadomo wszędy, że tam duchy straszą.
Po części to związane jest z historią studni,
W której czasy dawnymi na życzenie pani,
Władczyni tych okolic, nadzwyczaj okrutnej
Utopiono mężczyznę imieniem Giovanni.
Słońce patrzy w wodę tylko o południu,
Gdyż o innej porze bronią mu bukszpany,
Wtedy błyszczy złotem cała stara studnia
Razem z ostrzem włóczni i razem z rybkami.
Najprzyjemniej jest jednak wieczorem już późnym
Złożyć głowę przy studni na zielonej darni
I spoglądać w niebo, gdzie księżyc jak bursztyn
Świeci światłem przepięknej i jasnej latarni,
Wówczas widać Venus, też zda się, że żyje,
Ręką pierś osłania, lekko zwraca głowę,
Palce dłoni smukłej obejmują szyję,
Przed wzrokiem Wodnika pragnie nagość schować,
A kajman (bo to kajman, wcale nie krokodyl)
Niczym żywe srebro rzuca strumień z paszczy,
Który lekkim deszczem opryskuje schody
I biodra Wodnika kropelkami głaszcze.
W noce bardzo chmurne, gdy księżyca nie ma
Venus chowa się drżąca w ramiona Wodnika,
Kajman schodzi w wodę, a wilgotna ziemia
Ukazuje ślady — rzeźba studni znika.
A gdy błyskawica rozjaśnia ciemności
Widać nagi marmur oświetlony łuną.
Nie nawiedzaj studni nieproszony gościu
W taką noc, gdy pusty zostaje postument.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO"
w Warszawie

Po przeczytaniu artykułu p. t. „Depesza ks. Zieji" w numerze z dnia 6.III uprzejmie zapytuję, czy Szanowna Redakcja nie uważa za wielki nietakt w stosunku do ks. Zieji:

a) publiczne legitymowanie go przed społeczeństwem w sposób jaki to uczynił autor artykułu;

b) kreowanie żyjącego i pracującego dziś księdza na „jedną z najczcigodniejszych postaci itp." co nie licuje z jego prostotą;

c) nadawanie tytułu „Depesza ks. Zieji" artykułowi politycznemu, który mówi o bombie atomowej, Anglikach, Amerykanach i komunistach — a nie ma nic wspólnego z duszpasterską służbą ks. Zieji i jego znanym od dawna, z postawy chrześcijańskiej wypływającym, życzliwym stosunkiem do sprawy odrodzenia narodu Izraelskiego.

W imieniu grona współpracowników

Ludwika Ruszczyc

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Sądzę, że inni czytelnicy „Dziś i Jutro" tak jak i ja już od dawna i niecierpliwie wyczekiwali recenzji głośnej już książki Kordyasza „Zakon Miłości". Nareszcie ją mamy, napisaną wytrawnym piórem p. Zygmunta Lichniaka. Dzieło Kordyasza, choć jest niewątpliwie pozycją cenną i ciekawą wśród powojennych wydawnictw katolickich, nie jest jeszcze dziełem ostatecznie dojrzałym. Jest więcej wybuchem głęboko przeżytego niepokoju, niźli przemyślaną i drobiazgowo przepracowaną analizą naszej katolickiej rzeczywistości i programem reform.

Nie zamierzam zabierać głosu w charakterze ko-recenzenta. Lichniak wypełnił swe zadanie ze znawstwem i z talentem, które cechują wszystkie jego prace. Chcę jednak podnieść dwa spośród poruszonych przez recenzenta zagadnień.

Kompozycja literacka „Zakonu Miłości". Czytając tę książkę mimowoli porównywałem ją stale z Listami Celestyna VI Papiniego. Forma apokryfu porywa niewątpliwie u piszącego i czytającego swą niecodzienną ekspresją. Mimo wszystko było jednak łatwiej przemawiać w imieniu fikcyjnego namiestnika Chrystusowego głośnemu Papiniemu, niż Kordyaszowi, zdobywającemu sobie dopiero pozycję literacką — w imieniu samego Chrystusa. Zadanie wydaje mi się nie tylko literacko zbyt trudne, lecz i przede wszystkim — społecznie zbyt niebezpieczne.

Nasza kultura tak religijna jak i literacka jest uboższa od zachodniej. Przeciętny czytelnik katolicki na zachodzie Europy otrzaskał się już z takim chwytem literackim, jakim jest apokryficzność. Spotykał ich wiele, potrafi je doceniać, ale także rozróżnia formę od treści. Zresztą Włosi uważają się, z racji roli Rzymu w historii Kościoła, za krewnych Pana Boga, pozwalają sobie czasem w stosunku do niego na poufałości dla nas niewątpliwie szokujące. Ja natomiast byłem niedawno w Warszawie świadkiem rozmowy w której prosty, ale bynajmniej nie głupi entuzjasta „Zakonu Miłości" postawił pytanie: „czy prawdą jest, że ten rękopis w cudowny sposób dostał się w ręce p. Kordyasza?" Więc stanowczo nie — choć zachwycam się „Listami" Papiniego, odradzam p. Kordyaszowi pisania apokryfów. W każdym razie jeszcze nie dziś. Pod tym względem zgadzam się całkowicie z Zygmuntem Lichniakiem.

Inaczej natomiast patrzę na „canossyzm" Kordyasza. p. Lichniak zarzuca autorowi „Zakonu Miłości" nie tylko „za mocne słowa i za słabą argumentację" w krytyce katolickiej rzeczywistości, ale mówi o demagogii, cierpiętnictwie, masochiźmie psychicznym. Jest w tych zarzutach niewątpliwie część prawdy. Kordyasz maluje obrazy za mocno, operuje przy tym ogólnikami, a przykłady jakie daje rażą często niewspółmiernością i subiektywizmem. Niektóre akcenty krytyki kapłanów są niepotrzebnie drastyczne i niepotrzebnie osobiste. To prawda. Ale podnosząc to winien recenzent głębiej wniknąć w intencje autora i w specyficzne okoliczności, że się tak wyrażę historyczne, towarzyszące temu dziełu.

Nie Lichniak pierwszy zresztą protestuje przeciw nadmiernemu krytycyzmowi katolickiej literatury. W swoim czasie w Tygodniku Powszechnym z okazji recenzji „Konfesjonałów" Grabskiego — oburzała się Starowieyska-Morsztinowa na upodobania niektórych pisarzy katolickich przedstawiania postaci świętych kapłanów, niezrozumianych, walczących i cierpiących w świecie im obcym i złym. Nie jeden też Kordyasz zajął stanowisko tak radykalnie krytyczne. Problem więc leży poza autorami i poza krytykami.

Autorom zapewne nie chodzi o chwilę obecną. Pozornie w każdym razie nie daje ona powodów do niepokoju. Kościoły są pełne, sakramenty nabrały powagi, jakiej dawno nie było, zwartość katolickich społeczności rośnie, rozmach literatury katolickiej aż bije w oczy. Nie mniej w szeregach katolickich pisarzy rośnie krytycyzm, wybuchający czasem, jak u Kordyasza niespodziewanie dramatycznym akcentem. Wydaje mi się, że proces ten wyrasta na tle oceny całego okresu historycznego w którym żyjemy a nie tylko chwili obecnej, jak się mylnie sądzi. Wynika on ze świadomości, że mimo wszelkich pozorów, od bardzo dawna rzeczywisty wpływ katolicyzmu na rozwój ludzkości staje się znikomy. Religijności, nawet kulturze katolickiej nie towarzyszy realny wysiłek nad przebudową życia. Ten proces rozchodzenia się życia osobistego i religii wynika z wewnętrznej słabości katolików. Ataki Kordyaszów byłyby niewątpliwie i bardziej umiarkowane i mocniej podbudowane, gdyby nie były wystąpieniami wyjątkowymi w atmosferze kwietyzmu, która się dziś zbyt łatwo szerzy choćby z łam pism katolickich. Proszę przejrzeć roczniki Tygodnika Powszechnego, Tygodnika Warszawskiego czy Przeglądu Powszechnego — łatwo tam znaleźć pochwałę katolickich osiągnięć, trudno o ostrzeżenia, obiektywnego bilansu ostatniego okresu historycznego z punktu widzenia katolickiego, znaleźć nie sposób. By przerwać atmosferę sielanki padają głosy Kordyaszów. Za mocne? Być może, Nie mniej zbyt rzadkie.

Samobiczowanie się moralne jest oczywiście niepotrzebne. Osłabia zamiast wzmacniać. W każdym momencie konieczna jest jednak realistyczna ocena prawdziwej rzeczywistości, w której przychodzi nam dziś walczyć. Należy zachęcać Kordyasza, jak i wszystkich pisarzy katolickich, by byli w swej ocenie ostrożni i by unikali gołosłownych czy nie przekonywujących zarzutów. Nie należy się jednak niecierpliwić, jak to czyni Lichniak czy Starowieyska - Morsztinowa. Trzeba im pomóc, wskazać właściwą drogę a przede wszystkim dobrze zrozumieć, czego epoka od pisarza wymaga.

Tylko współpraca autora i krytyka da w rezultacie dobre nowe dzieło.

Władysław Zegocki

PROBLEM „VA BANQUE I INNE..

W nr 6 „Dziś i Jutro znajduje się artykuł Z. Lichniaka omawiający książkę T. Kordyasza „Zakon Miłości". Może recenzent ma rację, ale słuszność niektórych jego zarzutów wydaje się niecałkowicie pewna.

Oto Z. Lichniak stwierdza, że Kordyasz podkreślił w swojej książce ujemne strony działalności katolików duchownych i świeckich, a nie pozytywne osiągnięcia, co recenzent nazywa canossyzmem psychicznym itp. Zdaniem autora recenzji: „Zdrowa trzeźwa ocena własnych braków jest podstawą doskonalenia siebie i innych, ale siły czerpie się ze zdrowej i pozytywnej oceny swoich pozytywnych osiągnięć".

Mam wrażenie, że pominięcie dodatnich stron ludzkiej działalności w Kościele nie wypływało z przesadnego krytycyzmu autora „Zakonu Miłości". Nagromadzenie tylu czarnych plam było potrzebne dla rozwinięcia myśli wypowiedzianej w następującym zdaniu na str. 29 „Ze mnie i z was wyniosłem ponad obłoki budowę Kościoła. Wszystko, co ze mnie jest nie skalane. Wszystko, co z was — grzeszne. Ale żadna z najnikczemniejszych waszych zbrodni nie zmniejszy prawd wiary, nie osłabi mocy sakramentów, nie pokala czystości Kościoła w głębi serca jego, które oddycha Moją Krwią".

Wobec takiego rozstrzygnięcia problemu wzajemnego stosunku boskiego i ludzkiego pierwiastka w Kościele, gdyby autor użył barw jeszcze czarniejszych i gdyby nawet rzeczywistość była okropniejsza od najbardziej pesymistycznego obrazu, nie byłoby w tym nic deprymującego. Jak możemy czerpać siły z oceny własnych pozytywnych wyników w pracy duchowej, kiedy w świetle wiary w ogóle nie mamy prawa przepisywać sobie niczego dobrego. Prawda ta jest kamieniem obrazy dla wielu przeciwników Kościoła. Np.: w podręczniku psychologii Witwickiego jako ilustracja stanu traktującego o psychopatycznych stanach, podany jest fragment rozmyślań któregoś z kanonizowanych świętych, usiłującego wzbudzić w sobie akty pokory. Nie jest to zresztą takie dziwne, że komuś podobne wypowiedzi mogły się wydać objawem patologicznych dyspozycji. Tego rodzaju wynurzenia świętych sprawiają wrażenie czegoś chorobliwego i nieszczerego. Czytając je, człowiek kierowany pierwszym impulsem, ma ochotę wykrzyknąć: Przecież to nieprawda. Dopiero jego sprzeciw słabnie, gdy gdzie indziej znajdzie naświetlenie problemu pokory pod kątem dogmatu grzechu pierworodnego. Dowie się wtedy, że człowiek nie może spodziewać się po sobie niczego dobrego. „Ty jesteś niczym — Ja jestem wszystkim" mówił kiedyś Chrystus do św. Teresy (d'Avila?).

Przeprowadzając analogię życia zbiorowego z życiem jednostki, można stwierdzić, że i to zło nie powinno być dla nas czymś niespodziewanym, i tu jako zespół nie mamy prawa sądzić, że to myśmy zdziałali cośkolwiek dobrego. Więc chyba nie popełnia błędu autor „Zakonu Miłości", jeśli mówiąc o ludzkim pierwiastku w Kościele, używa samych czarnych barw. Zdaniem Z. Lichniaka taka krytyka jest społecznie szkodliwa. Jeżeli jest nią, to bynajmniej nie ze względów, przez recenzenta, ale raczej z tego powodu, że poniektóry uprzedzony czytelnik znajdzie tu wodę na swój młyn. (Nie wyczyta zresztą nic nowego, tylko przypomnienie znanych mu skądinąd faktów). No ale wtedy wina nie leży po stronie książki.

Inny zarzut p. Lichniaka. Recenzent powoławszy się na artykuł p. T. Kordyasza w „D i J" nr 51 stwierdza, iż autor „Zakonu Miłości": „wyznawał tam skromnie, że „wypadkiem zną dobrze naukę Doktora Anielskiego". Widocznie nie próbował poznać jej lepiejł Nie mówiłby wtedy, że „wszystko to jest źle powiedziane", że „ciężka machina szybkotnącego rozumu Tomasza zawiodła tu zupełnie, „Otóż słowa krytyki cytowane przez recenzenta nie odnoszą się — jak to wskazuje odpowiedni kontekst „Zakonu Miłości" — do całokształtu filozofii św. Tomasza, ale do jej niektórych fragmentów. Nie znajdujemy natomiast w recenzji odpowiedzi na postawioną we wspomnianym artykule Kordyasza tezę, że „nieczystość tomizmu nie może być interpretowana jako ostateczny wyraz prawidłowego poznania". W drugiej części swojej recenzji Z. Lichniak przechodzi do oceny „Zakonu Miłości" pod względem literackim. Omawiając treść książki, recenzent pisze, że Chrystus oddał swój rękopis sam lub przez pośrednika p. Kordyaszowi". Tu od razu nasuwa się pytanie: Skąd wiadomo, że p. Kordyaszowi. Wprawdzie książka rozpoczyna opowiadanie w pierwszej osobie, ale przecież jest rzeczą ogólnie znaną, że bohater opowieści niewymieniony z nazwiska, lecz wskazany przez użycie zaimka „ja", niekoniecznie musi być identyfikowany z autorem. Ale to drobiazgi.

Następnie recenzent stwierdza, że pomysł apokryfu wymagał umiejętnej i głęboko przeprowadzonej stylizacji, oraz że T. Kordyasz tego celu nie osiągnął. Powstaje kwestia, czy stanowi to wielką wadę książki, że nie jest ona doskonałym pastiche'm, imitującym styl Ewangelii i czy tego rodzaju postulat nia kolidował wyraźnie z innym zamierzeniem, które postawił sobie autor, mianowicie, zamierzeniem przemawiania w języku, jakiego używają dzisiejsi ludzie. Ze o to ostatnie chodziło autorowi, wskazują jego własne słowa, wypowiedziane w wyżej wspomnianym artykule pt: „Nie jestem wrogiem św. Tomasza" T. Kordyasz pisał tam „natomiast jestem pewien, że Jezus obcując stale z tłumem, z ludźmi ulicy, przemawiał do nich ich językiem, bo ich kochał, chciał być zrozumiany. I dzisiaj bezsprzecznie robiłby to samo". Więc odstępstwa od poprawności pastiche'u kosztem realizacji wspomnianego zamiaru wydają się usprawiedliwione.

Słowo „va banque" w ustach Kordyaszowego Chrystusa razi recenzenta, który miałby ochotę wykrzyknąć: Fi donc! Co za trywialność! To prawda, że i w idealnym pastiche'u pod Ewangelię byłoby ono niedopuszczalne. Ale autorowi „Zakonu Miłości" mogło zależeć na stworzeniu sugestii, że Chrystusowy interlekutor (który o ile sobie przypominam odezwał się raz jeden tylko) przeżywa w danym momencie nastrój gracza, owładniętego pasją gry i w najwyższym zdenerwowaniu wahającego się między żądzą spodziewanej wygranej a obawą rzucenia jako stawki wszystkiego, co posiada. Rozwlekły opis tych przeżyć mógłby mieć mniej ekspresji, niż krótki techniczny termin, z którym się one kojarzą. Zaś fakt, że przenośnia została zaczerpnięta z dziedziny znanej gościom kasyna gry, nie powinien budzić zastrzeżeń. W Ewangelii pełno jest analogii do praktyk ludzi, pozostających w kolizji z kodeksem karnym. Np.: złodziej jest personifikacją śmierci. Człowiek roztropny w opinii tego świata — to niesprawiedliwy włodarz, mający konszachty z dłużnikami szefa i uprawiający różne buchalteryjne machlojki. Metaforykę Ewangelii naśladowali święci. Oto św. Teresa wyobrażała sobie Chrystusa jako Boskiego Złodzieja i spodziewała się po nim rychłej kradzieży. A przecież złodziej to coś gorszego niż gracz.

Na zakończenie recenzent stwierdza, że o wiele lepiej byłoby, gdyby w „Zakonie Miłości" nie przemawiał Chrystus, tylko po prostu Kordyasz".

Ba, ale wówczas nie byłoby efektu!

Maria Budzanowska

SŁOWNIK
SYNONIMÓW POLSKICH
KUPIMY NATYCHMIAST

Wiadomość: Redakcja „Dziś i Jutro"

Quo vadis — po 52 latach

(Dokończenie ze str. 6-ej)

jąć, gdyby... gdyby nie dziwaczny fakt, że zło (w swej wewnętrznej logice) ideologia, wywołuje wśród czytelników skutki — dobre!

Zastanawiając się nad tym faktem, zaryzykuję jeszcze jedną uwagę: Chrześcijaństwo w „Quo vadis" ma swoje dwa oblicza: chrześcijaństwo Winicjusza i chrześcijaństwo Apostołów i męczenników. Płytkość, naiwność, śmieszność postawy pierwszej jest dla każdego oczywista. Dlatego też i cała „romansowa" osnowa powieści wyblakła. Winicjusz i Ligia mogliby niemal wypaść z powieści. Lecz Paweł, a zwłaszcza Piotr, pozostają w niej żywi. Zresztą nie jako żywi ludzie. Nie jako dobrzy wyraziciele Prawdy. Ale jako zarys, zapowiedź problemu świętości w literaturze, tak zasadniczego dla twórczości dzisiejszej.

I jeszcze jedno: tam gdzie Sienkiewicz sam mówi przez swoich bohaterów, tam przemawia jako biedny przedstawiciel najbiedniejszej z epok: żałosnego 19 wieku. Tam, gdzie mówi jego talent — ta siła niezależna od postaci piszącego — tam dokonuje się niespodzianka. Łaska umie przemawiać nie tylko przez człowieka ale i mimo człowieka.

Jan Dobraczyński

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m 17, tel 880 71 Konto P.K.O. — Nr I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

Druk. Skolimowska 5.

B-73201